



Londr 30.

CH.

EM

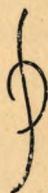
MATCE
POŚWIĘCAM.



Z KARYKATURY STANISŁAWA KELLERA.

JOTES
(JAN SMOTRYCKI)

MARGINESY



Prof. Majowski
J. Ludydze - Ławoszewski
z wyrazami szacunku i przyjaźni

Katowice 12. 1. 32

J. Smotrycki

K A T O W I C E 1 9 3 1

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63
<http://rcin.org.pl>



DRUK: ŚLĄSKIE ZAKŁ. GRAFICZNE i WYDAWNICZE
„POLONIA“ SP. AKC., KAŹOWICE, UL. SOBIESKIEGO 11

4047

MARGINESY.

NA STYCZNIOWEGO SŁOŃCA PROMIENIU.

Hej! Odzywa się w duszy piosenka —
Jakaś inna, jakaś z dawnych lat —
Jakieś barwne maluje krosienka —
Jakieś usta, kraśne jak wisienka —
Oczy — habru kwiat — —

Hej! Podzwania mi jakaś piosneczka,
zapomniana, zda się, z dawnych dni —
Jasne niebo — wiosenka - dziewczeczka —
habry - oczy — wiśniowe usteczka —

Hej! Podzwania mi! — —

Błysnął promień słońca z nieba złoty,
zaczarował wszystko wokół, wszecz —
prysła zima, chłody, śniegi, słoty —
w sercu radość się budzi, tęsknoty —

Wszystko kochaj! Bierz!

Miasto, szare zwykle, zadymione
zajaśniało nagle krasą lic —
Jakoś jaśniej... W którą spojrzysz stronę,
wszystko jakieś świeże, odmłodzone —

Nie razi cię nic.

Ludzie, szarzy zwykle, zasepieni —
jakąś radość mają w twarzach, śmiech —
W oczach — jasność, pozbawioną cieni,
w których smętek, czy gorycz się pleni,
czy zawiści grzech.

Jakaś radość wstępuje do duszy,
nanizana na słoneczną nić —
jakiemś szczęściem w serca ludzkie prószy,
jakieś bóle i rozpaczę głuszy —

Jakoś łatwiej żyć! . . .

I choć wiem, że — tylko chwilą złudy,
ten piosenki czar w styczniowy dzień —
że błysk słońca zgaszą słoty, brudy,
szare troski, takżeż szare trudy,

i starości cień.

Lecz się cieszę, że choć w rytm piosenek
mogę zakląć czar młodzieńczych lat —
blasku słońca i dziewcząt - wiosenek,
oczu - habrów i ustek - wisienek —

Dawny, dawny świat — —

WIERSZYK O SŁÓW ULUDZIE.

Nieraz gdy piersi, zda się, brak tchu w miejskich
murach,
lub gdy bruki uliczne lśnią w jesiennej słońcu —
marzę bajkę przecudną, skąpaną w lazurach —
o jakimś kraju w słońca wieczystej pozłocie,
w listowia wonnej ciszy, w kwiatów rozłeczeniu,
w tchnieniu wiatru, co stropy róż polnych kołysze —
i tak trwam w tem manjackiem, błędnem rozmar-
rzeniu,
aż wreszcie — biorę pióro i... wiersz o tem piszę...

Nieraz gdy widzę nędzę, głodne starce, dzieci —
marzę jakieś cudownie zdobyte miliony,
z których szczodrota moja szczęście wokół nieci,
radość, zadowolenie sieje na wsze strony...
Sypię złotem naokół, gdzie i ile trzeba,
miast skargi głos radości zewsząd tylko słyszę —
aż wreszcie... by samemu mieć kęs szary chleba,
siadam, biorę za pióro i... wiersz o tem piszę.

Tak się pocieszam w własnej biedzie i nicości
i w złudzie marzeń sennych szukam ukojenia,
uciekając w świat baśni, słońca i miłości
z padołu nędzy, walki, złości, upodlenia...
A gdy mnie życie z takich snów czarownych budzi,
gwarem miejskim zrywając baśni senną ciszę —
ku pokrzepieniu innych, jak ja biednych ludzi
na marginesu skrawku... wiersz o snach mych piszę.

ŚMIECH WYZŁACA ŻYCIE.

(W albumie p-ny Jadzi Z.)

Wnet panna Jadzia jak motyl poleci
w świat złud słonecznych, tak ponętny zdała,
z duszą tak czystą, jakie mają dzieci,
nim je chłód życia zamrozi lub skala.

Nie każdy motyl opala skrzydełka —
Mijają prędko nawet groźne burze —
Lecz nie zna życia, kto choć raz w niem nie łka —
Znudzą się wieczne oklaski i róże...

Przeto choć z czasem blaski słońca zbledną,
życie niejeden sen o szczęściu zburzy,
proszę pamiętać tę maksymę jedną:
ten jest zwycięzca, kto się śmieje dłużej.

I proszę wspomnieć siwawego pana,
co wpisał wierszyk ten w albumie Jadzi,
co śmiał się zawsze od rana do rana
i umiał słońca szukać w życia kadzi.

Nie zrzedził, jak to czynią ludzie starzy,
choć nieraz łzą mu wilgniała powieka —
zawsze dla ludzi miał uśmiech na twarzy
i zawsze wierzył w dobrego człowieka.

Cieszyn, 25. 12. 25 r.

UŚMIECH NA TWARZY.

(Z nienapisanego przez Konfucjusza poradnika dla przyjaciół i wrogów.)

Dla ludzi trzeba mieć uśmiech na twarzy!
Nie zdradź, że coś cię oburza lub boli,
by ból twój nie był przedmiotem swawoli —
Dla ludzi trzeba mieć uśmiech na twarzy!
Nawet gdy druh cię skrzywdzi czy spotwarzy
i przeciw tobie niegodnie warcholi,
nie zdradź, że coś cię oburza lub boli —
Dla ludzi trzeba mieć uśmiech na twarzy!

Ludzie są zacni, lecz... podłe jest życie!
Nie każdy w sobie ma herosa siły...
Wszystkich pogodzi wilgny piach mogiły —
Ludzie są zacni, lecz podłe jest życie!
Nie dziw się przeto, jeśli nagle skrycie
pchnie cię sztyletem ktoś nad wszystkich miły —
Nie każdy w sobie ma herosa siły...
Ludzie są zacni, lecz... podłe jest życie!

Gniew i nienawiść są braćmi słabości!
Dobroć — to silnych, prawych dusz wyznanie —
śród plugastw życia zawsze czysta stanie...
Gniew i nienawiść są braćmi słabości!

Komu raz w duszy świt Dobra zagości,
ten gniew potrafi skryć w uśmiechu ranie...
Dobroć — to silnych, prawych dusz wyznanie! —
Gniew i nienawiść są braćmi słabości!

Spokój mieć można nietylko w klasztorze,
lecz pierwszej trzeba go chcieć całą duszą —
Wówczas go życie ni ludzie nie zgłuszają...
Spokój mieć można nietylko w klasztorze...
Jeśli-ć naprawdę w sercu Pokój gorze,
z podłością życia walczyć uśmiechu kuszą,
lecz pierwszej trzeba go chcieć całą duszą —
Spokój mieć można nietylko w klasztorze...

W najcięższych chwilach miej uśmiech na twarzy!
Niech on pokutną twą jałmużną będzie...
Nawet dla siebie przez luster krawędzie
w najcięższych chwilach miej uśmiech na twarzy.
Czy wróg cię dotknie, czy przyjaciel sparzy,
uśmiechu użyj za leków narzędzie,
niech on pokutną twą jałmużną będzie...
W najcięższych chwilach miej uśmiech na twarzy!

EVIVA L'ARTE!

(Wierszyk cokolwiek ironiczny, poświęcony kilku „wrogom“ i paru „przyjaciołom“).

Eviva l'arte! Niechaj żyje Sztuka —
ta najtrudniejsza z wszystkich — Sztuka Życia!
Cóż robić — każdy kęsa chleba szuka
i każdy chciałby mieć... możność utycia...
Stałość przekonań? — Co to dzisiaj warte?

Eviva l'arte!

Evive l'arte! Miej spryt przyjacielu!
Uważaj dobrze, skąd jaki wiatr wieje!
Przy pańskim stole jest miejsca dla wielu,
a co po cnotcie? Wszak cnoty nikt nie je?
Śmieć się, gdy-ć mówią: masz czoło wytarte!

Eviva l'arte!

Eviva l'arte! Dziś wszystko wypada!
Uważaj jeno, by się... opłaciło —
na cały głos wrzeszcz: „my pierwsza brygada!“
choć wczoraj jeszcze kłąłeś ją aż miło...
Grunt, byś miał drogi do... żłóbka otwarte...

Eviva l'arte!

Eviva l'arte! Czyś doktorem prawa,
czy też „zetknięcia“ nie miałeś z maturą —
nie walcz o słuszność, bo smutna — twa sprawa,
lecz trzymaj zawsze z tymi, co są gó r ą!
„Trzymam z silnymi!“ — wpisz na swoją kartę!

Eviva l'arte!

Eviva l'arte! Nie żałuj języka!
Szkoda twych czynów, gdy język wystarczy!
Śliną zatrutą oplwać przeciwnika,
któregoś godła wczoraj nosił w tarczy —
oto jest czyn twój! To dziś wiele warte!

Eviva l'arte!

Eviva l'arte! Gardź opinii głosem —
Weźmie-ć w obronę takich, jak ty wielu,
złączonych z tobą jednakowym losem!
Ich ci opinja starczy, przyjacielu!
Więc naprzód, śmiało! Cnoto, luzuj wartę!

Eviva l'arte!

ELŻBIETA — ELŻUNIA.

Jest jedno takie imię śród imion tysiąca,
że kiedy się je czasem posłyszysz lub powie,
wspomnienie jakieś rzewne myśl z biegu wytrąca
i czarem baśni złotej zamęt czyni w głowie —

Elżbieta — pani zamku... Włos w wstęgi wpleciony
w czarnych jak noc warkoczach dwóch do ziemi
spływa —

gderliwy kołowrotek z bukszpanu toczony
warczy cicho, nić białą skręcając z przędzywa —
na wysokiej poręczy krzesła sokół drzemie —
a u stóp pazik, w oczy pani zapatrzony,
zapomnianą lutejkę upuścił na ziemię
i wzrokiem wyśpiewuje miłosne canzony. —

Albo — dziedziniec zamku... W bogatej koronie
kasztelanka Elżbieta, zdobna w gronostaje,
w jedwabie, aksamity, na złocistym tronie
turniejowym zwycięzcom nagrody rozdaje —
Słońce wyłącza zbroje, szyszaki, brzeszczoty,
stopnie tronu, usłane we wschodnie kobierce —
Zwycięzca wziął w nagrodę łańcuch szczerzłoty,
lecz oddał Kasztelance w niewolę... swe serce.

Elżunia — dziewczę słodkie... Włosy rozpusz-
czone — — —

Księżniczka, czy pasterka — jednakie wrażenie —
pęki stokrotek polnych wzięła za koronę
i za motylkiem żółtym biegnie niestrudzenie.
Pani matka, pan ojciec w komnatach zajęci,
a ona wśród zieleni, jak bóstwo wiośniane —
jak z obrazka świętego aniołowie święci —
jak królewna baśniowa — jak marzenie senne.

Elżbieta czy Elżunia!... Śród imion tysiąca
kiedy te dwa imiona gdzieś czytam, czy słyszę
z codzienności mnie wizja tęczowa wytrąca
i czarem baśni złotej myśli me kołysze —

MODLITWA.

(Naśladownictwo Lermontowa).

W minutę życia trudną
gdy serce żal rozsmęci,
modlitwę jedną cudną
powtarzam wciąż z pamięci.

Ma siły dobre, święte
melodja słów tych żywych,
tchnie piękno niepojęte
z wartości tych prawdziwych.

Od zwątpień serce chroni,
ich więzy mocne kruszy...
Człek wierzy i łązy roni
i tak mu lekko w duszy.

„GOSPODARSTWO“ JOTESA.

Wierszyk poświęcony dyr. Cz. Ch.

Hej! gdybyż tak choć na starość
mieć swój własny kąt!
Nie za dużo... Tyle tyle,
by rozjaśnić krótkie chwile,
nim człek pójdzie stąd.

Żeby chociaż jaki taki,
własny kącik mieć —
domek, sadek, kawał pola...
Hej! Innaby była dola
mimo włosów sniedz.

Hej! gdyby tak człek choć cudem
kawał grontu miał!
Zorał-bym go na odsibkę —
Każdą grudkę, każdą skibkę —
równiuśko, na schwał.

A posiałbym oziminę,
popod pszeny kłos —
siał, a nie żałował ręki,
siał, a nucił wciąż piosenki
na caluśki głos.

Potem otarł ręką z czoła
w kroplach lśniący pot
i szedł z k u n i e m, gdzie zagroda,
tam, gdzie czeka żonka młoda,
wyjdzie aż za płot.

Kuń u żłoba... Żonka w kuchni...
Cieknie ślina z ust...
Zsiadłe mleko z ziemniakami,
jajecznicą ze skwarkami...
Taki już mój gust!

Kuchnia, izba, druga izba...
Czysto, że aż lśni...
Częstochowska ponad progami...
Zawsze lepiej w zgodzie z Bogiem,
pewniej — wierście mi!

Za oknami sad z wiśniami,
kilka jabłoni, grusz...
chlew, stodoła i obórka —
a przy bramie od podwórka —
Burek, wierny stróż.

W chlewie czeka Wielkiej Nocy
nierogaty zwierzę...
W obórce Krasula stoi...
Czasem ją sam Jotes doi
(chłop potrafi też)...

Jest i książka... Jest „Polonja“,
w niej nowinek rój...
Hej! Byłoby-że to było!
Hej! Żyłoby się, oj żyło!
Chryste, Panie mój!

Hej! gdybyż tak... Próżno marzyć...
Życie niesie kłam,
zwiewa gruntów własnych miarę...
Chyba, że tych łokci parę
wśród cmentarnych bram...

Nie płacz żonuś po Krasuli..
Szkoda łezki twej!
Możem dziedzictw mieć bez liku...
Jak nie w życiu, to w wierszyku...
Uśmiechnij się! Hej!

PRZYKRE PYTANIE.

(Wierszyk elegijny.)

Tak się wszystko na świecie układa cudacznie...
Wczoraj-s się czegoś uczył, dziś ucz się inaczej! —
Czas wszystko, wszystko zmienia stale choć nie-
znacznie
i nawet to, co-ć „drogie“, skrzywi lub wypaczy — —

Uczono mnie, że „grzechu wystrzegać się trzeba“
i człek się żył, zrósł prawie z tym starym poglą-
dem — —

Dziś mówią „grzech przysparza często ludziom...
chleba... —
i „grzechem“ jest dopiero, gdy stanie... przed
sądem!“

Uczono nas, że „honor — to świętość największa“,
że „honor jest największym bogactwem człowieka“
Dziś mówią: „dobre, żyro“ honor ludzki zwiększa
a najlepszym „honorem“ — czysta hipoteka!“

Uczono nas: — „Przyjaciół jest życia ozdobą —
on cię od wszelkich zgryzot swem sercem otoczy“ —
Dziś mówią: — „Choćby druh twój żył jak z bra-
tem z tobą,
pamiętaj — nigdy druhom nie mów prawdy w oczy!“

Uczono nas, że „miłość skały z miejsc porusza
że bez miłości życie, to Madeja łoże“ —
Dziś mówią: „Kochaj siebie, ile pragnie dusza,
lecz najwięcej tych, z których ci coś... „kapnąć“
może!“

Tak się wciąż wszystko zmienia prawie w jednej
chwili,
że wreszcie tem pytaniem dławię się jak ością:
czy głupcami ci byli, którzy mnie uczyli,
czy też takim już stary, że żyję... przeszłością?!

PRACA DLA OJCZYZNY.

(Refleksja aktualna).

Dawniej, gdy wróg nas zalewał jak morze,
gdy nazwa „Polak“ często kłutwą była,
kiedy pacierza nawet słowo Boże
moc wroga w ustach dziecięcia kaziła,
gdy dostojęstwa, zaszczyty, posady
owocem dla nas zabronionym były,
kiedy do naszej wróg dążył zagłady —
wtedy byliśmy jak rodzina jedna
polska na Śląsku... Do jednej Macierzy
dążyła rzesza niewolna i biedna,
o jedno Boga prosząc wśród pacierzy...

Każdy był bratem temu, kto wśród biedy
niósł hasło: „Wytrwam w mej ziemi obronie!“,
kto niósł dla sprawy bratniej trud i blizny,
ten wszystkie serca miał przy sobie wtedy,
aż wróg się pienień i wściekał na stronie...
I zwało się to: P r a c a d l a O j c z y z n y !

Dziś, gdy wróg odszedł, jak fala w odpływie
i gospodarzem — myśmy w swojej chacie,
chwasty się plenią na serc bratnich niwie...
Nikt dziś się do cię nie odezwie: „bracie!“

Jeśli pracować chcesz dla swojej braci,
miast serc napotkasz na zawiści grudy —
stękiem podejrzeń za pracę dziś płaci
brat bratu, wężąc wciąż podstęp i brudy —
Gdzie ucho skłonisz, słyszysz szept „zdrada!“
obelgi niskie, karczemne, plógawe —
Jeden drugiego jak zbrodzień napada,
niweczając dawnych dni braterską sprawę...

Wszędzie oszczerstwo jest orężem w walce
i zawiść, zda się, w wszystkich sercach płonie —
Wśród atmosfery gwałtu i zgnilizny
syczym na siebie, jak węże - padalce,
aż wróg się cieszy, raduje na stronie...
I to się zowie: **P r a c a d l a O j c z y z n y !**

„MADAME BUTTERFLY“

(P. Liljanie Zamorskiej do pamiętnika.)

Już zcichły gongów dźwięki i weselne pieśni
i bonza dziki uciekł z klątw strasznych słowy —
a księżyc świat zamienił w cud seledynowy,
w którym się wkrótce nowy cud serc ucieleśni...

Kwiat miłości zakwitnie dziś w tę noc bajkową,
jakiego w Europie nie znają rówieśni,
sącząc truciznę słodką w serc jałowe pleśni,
zapachem swym durmaniąc nawet trzeźwe głowy...

O Butterfly! Choć straszna twa męka czekania,
straszniejsza, niż ostatnie żelaza dotknięcie —
jakżeś zazdrości godna w istnień firmamencie
za twej wierności ufność i głębię kochania!
I jakżeś wiecznie droga, motyłu błyszczący,
z kraju wiernej miłości i wiśni kwitnącej...

RADOŚĆ ŻYCIA.

Nieraz się dziwią, żem zawsze wesoły,
gdy wszystko naokół biada,
gdy ludzie mają smutne oczodoły,
grymas na ustach im siada . . .

Mam wam wyjaśnić, gdzie radości tchnienie —
i śmiech mój mają przylądek?
Oto — wciąż trzeba mieć czyste sumienie
i czasem... pusty żołądek.

SŁONECZNA DROGA.

(Wierszyk niewesoły.)

Choćbyś miał nawet wiecznie
uśmiech, jak ja, na twarzy
i choćbyś chciał koniecznie
nieść ludziom radość w darze,
nie zabraknie-ć kamieni
na tej „wesołej“ drodze...
Uśmiech w grymas się zmieni,
łzom często puścisz wodze.

Choćbyś chciał bawić ludzi,
jak bawią smutne dzieci,
w samym się czasem zbudzi
ból i w twarzy-ć zaświeci
i choćbyś ciągnął dalej
swe żarty bałamutne —
twoje słowa ból przepali
i „dzieci“ będą smutne...

Zimne jest życia bagno,
zakrzepłe w bryły lodu —
jedni się bawić pragną,
a drudzy giną z głodu —



jeden żyje, używa
a drugi mrze i biada
i przykro temu bywa,
kto codziennie obiad jada...

I choćbyś chciał koniecznie
nieść ludziom radość w darze,
nucić im wciąż słonecznie,
przed Boga wieść ołtarze —
nie zbraknie-ć kamieni
na tej „słonecznej“ drodze...
Uśmiech się w grymas zmieni,
łzom często puścisz wodze...

HOMO HOMINI — LUPUS!

Nieraz mi w głowie smutna myśl się rodzi,
czemu tak często człek człekowi szkodzi,
czemu tak wiele zawiści i złości,
pragnienia krzywdy między ludźmi gości,
aż ich nareszcie w pokoju zjednoczy
piach, co zasypie im w mogile oczy.

Nieraz wysłedzić chcę przyczynę złego,
że człowiek chętnie tak gnębi bliźniego
często bez żadnej dla siebie korzyści,
jedynie z głupiej złości czy zawiści,
gdy ktoś nie pragnie drugiego być sługą,
lub gdy go przerósł pracą czy zasługą.

Nieraz się smucę, widząc, jak sił tyle
marnieje, chociaż idą ciężkie chwile...
Jak bracia, krewni, jednej matki dzieci,
którym Ojczyzny dobro za cel świeci,
jeśli ich dotknie waśni moc przekłęta
walczą ze sobą gorzej niż zwierzęta...

A przecież tak nam niewiele potrzeba:
wszak dach nad głową, codzienny kęs chleba,
dłoń przyjacielska, matki, żony serce
i swoje niebo, swoich pól kobierce,
poczucie, że się jest wolnym w swym kraju —
winny dać ludziom przedsmak życia w raju.

Niestety! Wilkiem — człowiekowi człowiek!
Oto, co czasem spędza mi sen z powiek,
oto, co czasem rysuje mi czarno
przyszłość Ojczyzny bezsławną i marną,
oto, co zawsze najbardziej mnie boli:
Kłątwa głupoty, zrodzonej w niewoli!

OPRAWCY.

Nie chcę pisać o faktach, — to pachnie cenzurą —
nie powiem gdzie, ni nawet, czy się kiedyś działo...
Nic! Nic!... Biorę li słowo, jego treść ponurą
ze słownika, gdzie cenzor ma roboty mało...
Samo słowo... Nic więcej... Najśmielsza wskazówka,
docinek, czy aluzja do jakiegoś sprawy...
Nic! Wystarczy treść tego okropnego słówka,
by ich poruszyć mocno... Słowem tym: **Oprawcy!**

O p r a w c y! Jakies krwawe echa średniowiecza —
jakies lochy katowni z zbrczonemi ściany —
ręce jak szpony sępów — — Gehenna człowiecza —
Gehenna duszy ludzkiej, wątpieniem szarpanej — —
W ciszy nocnej — zdaleka — przez przestrzeń
i ściany
jęk słyhać... Wilka wycie! — odpowie głos znawcy...
Nie, to nie wilk!... To krzyczy człowiek katowany
w rękach wilka - człowieka — człek w rękach
oprawcy.

Słyszycie?... Tak! Bo nagle poblady wam czoła
i w oczach przerażenie i litość się pali...
Czy wszyscy? Nie!... Jest garstka figlarnie wesoła,
co ma sumienia z głązów, a nerwy ze stali.
Ta na udręczeń ludzkich nastroje jest głucha,
przeciwnie — dyskutować chce o tem, jak znawcy —
i wszelkich jęków w nocy z przyjemnością słyha...
Homo homini — lupus! — **Moralni oprawcy!**

ZNAKI CZASU.

Każda chwila nieledwie ma swoje oznaki,
które „czasu znakami!“ zowią z owej racji —
krążą one zazwyczaj przyziemnymi szlaki,
jako dowód społecznej demoralizacji.

Podobne „znaki czasu“ mnożą się dzień po dniu
i u nas, w całym kraju, więc i w śląskiej ziemi —
i szczęśliwym się nazwij, gdy w którym tygodniu
możesz — chyba przypadkiem — nie spotkać się
z niemi.

Siać kalumnje, oszczerstwa, nienawiści słowa —
jeśli jaka gazeta ma za swe zasady,
to napewno nazywa się... p ó ł u r z ę d o w a — —
Ot „znak czasu“, którego masz wszędzie przykłady.

Gwałcić prawo, z pozoru będąc stróżem jego,
wołać głośno: „Policja“, napadając skrycie,
z hasłami: „Jedność, Zgoda!“ walić w łeb bliź-
niego — —

To — również: „znaki czasu“, jakie niesie życie.

Tego, co w karku twardy, podobny kolumnie
idzie w życie, któremu prawda głównym celem,
na korzyści pogardą odpowiada dumnie —
tego „znak czasu“ zowie **głupcem, marzycielem!**

Lecz w tym, co łże i pełza i dla cudzej chwały
poniża się, by korzyść mieć, z za płotu strzela,
zmieniając wciąż zasady, hasła, ideały —
w tym „znak czasu“ **mądrygo czci obywatela!**

WYPADA! — NIE WYPADA!

W druku, czy w mowie, czy w pracy nawale
tak życie nasze dziwnie się układa,
że się z „wypada“ nie liczymy wcale,
za to wciąż słycać wokół: „nie wypada!“

Iks ma na ustach kubły brudnej piany,
każdego radby wywrócić na nice,
nawet na słońcu chciałby znaleźć plamy,
błotem obryzgał całe Katowice.

Wszyscy go znają, każdy nań narzeka,
ale na ukłon jego odpowiada,
bo jakże, panie, obrazić człowieka,
gdy ci się kłania? Jakoś... **nie wypada!**

Ygrek choć polskie w brzmieniu ma nazwisko,
po polsku mówi wtedy, kiedy musi,
i choć dość ważne zdobył stanowisko,
wciąż słowem polskim, jak kością, się ksztusi.

O „dawnych“ czasach z lubością wspomina
i w gronie Niemców najchętniej zasiada...

Takiemu drogę wskazać do Berlina?

Zgnieść go bojkotem? Kiedy... **nie wypada!**

Zet jest w urzędzie dużym dygnitarzem,
lecz tylko ten ma u niego uznanie,
kto rad przysięga przed jego ołtarzem
i kto do jego stronnictwa przystanie,
Na nic zasługa, fachowość, praktyka!
Świat po za „partją“ — to trutniów gromada!
Wydrwić publicznie tego „partyjnika“?
Ależ, daj spokój! Przecież... **nie wypada!**

Żet się uważa szczerze za „działacza“
i z dumną miną chodzi nakształt pawia,
gdy się okazja jaka napotacza,
choć go nie prosi nikt, chętnie przemawia.
Pół sali ziewa, pół ma głupią minę,
kiedy nasz „działacz“ baniałuki gada,
lecz żeby przerwać głupią paplaninę,
nikt nie odważy się, bo... **nie wypada!**

NIEWESOŁA PIOSENKA.

Chciałbym Wam nieraz w wierszyku mym
taką zadzwonić piosenką,
by wszystkie smutki zczezły jak dym,
jakby kto odjął je ręką.
By prysnął wszelki smutek i ból,
pod czarem tej mej piosenki,
jak wtedy, kiedy wietrzyk od pól,
zwiastuje przyjście wiosenki.
Kiedy powszednich dni rwie się nic,
dni, w których dusza chce szlochać,
i człowiek pragnie li tylko — żyć!
i kochać, kochać i kochać!
Gdy słońce świeci nawet z za chmur,
kwiaty rumienia się wszędzie,
a myśli w jeden łączą się chór:
Dobrze jest, a lepiej będzie!

Niestety — piosnki wesoły ton,
fałszu akordem zadźwięczy,
niby pęknięty wieżowy dzwon,
i miast weselić, wprost dręczy.
Nie czas wiosenne wspominać sny,
gdy wiatr wśród suchych gałęzi
piosnkę o zimie zawodzi ci
i płacze, jęczy i rzezi..

Trudno kochania rozbudzać czar,
gdy rzeczywistość ci iści,
jedną z najsroźszych z przeszłości mar
zawiści i nienawiści...
I pieśń, co miała pobudzać śmiech,
w jesiennej melodji przędzie,
tylko to jedno z tych dawnych ech:
Że — źle jest, lecz... lepiej będzie.

MÓJ OGRÓDEK.

W ogródku moim, tym co się nie mierzy
na żadne w geometrii znane miary,
w ogródku, który jak me życie stary,
choć codzień nowy, chociaż codzień świeży...

W ogródku moim, który widzę jasno,
gdy nad papieru kartką pochylony
w Twojego domu oddalone strony
wysyłam myśli, co w udręce gasną...

widziałem kiedyś wczesnej wiosny wdzięki,
i przepych lata, i skarby jesieni,
i powódź białych róż wśród róż czerwieni,
i na wybrzeżu dróg irysów pęki...

Widziałem w słońcu rozłożonych drózek
to, o czym pamięć ciągle w duszy gości
i w oczy wciska się falą rzewności:
ślady stóp Twoich, ślady Twoich nówek...

Dziś w mym ogródku, ogródku poety,
widzianym w męce nad kartką papieru,
nie widzę kwiatów barwnego szpaleru...
Przedwcześnie wszystkie uwiędły, niestety...

Dzień wstaje szary, podobny do nocy,
pierzchnęły w niebyt róż upojne wonie...
W zrudziałych klombów zdeptanym zagonie
ostatnie astry konają w niemocy...

Deszcz bezlitośnie siepie piasek drózek
i topi w strugach, pomieszanych z błotem
to, co mi było ogrodu klejnotem:
ślady stóp Twoich... ślady Twoich nożek...

Deszcz... Mgła... Ból straszny... Tęsknota rzewliwa
łzę strąca... drugą... zmienacka... niechący...
Mój ukochany ogród konający
w brudnych się smugach na karcie rozplywa...

ROCZNICE.

BOHATEROM POWSTANIA STYCZNIOWEGO.

Byli... przeszli... minęli...
Ślady ich śnieg biały
zasypał na zdeptanych mokradeł topieli,
lub wśród kniej, gdzie spróchniałych pni czernieją
zwały...

A jednak nie zginęli —
Jednak żyją jeszcze...
Przykład ich ogniem świętym w krew wnuków się
wcieli,
kiedy chodzi, by z Polski zerwać kajdan kleszcze...

I mogą spać spokojnie,
bo to, o czem w męce
Oni śnili, krwi posiew rzucając tak hojnie —
Ojczyzna niepodległa — dziś ma wolne ręce.

SERCA I KWIATY.

(Na powrót Sienkiewicza.)

Rozdzwonią się dzwony — rozdzwonią —
i załopocą jedwabiem sztandary,
i z dźwiękiem orkiestr w przestworza pogonią
modły zaduszne górnośląskiej wiary — —

Rozdzwonią się dzwony — rozdzwonią —
i paszcze armat dadzą odzew gromu —
rzucone kwiaty wędnącą swą wonią
uścielą drogę Mistrzowi do domu — —

Ucieszą się oczy — ucieszą —
że choć po śmierci powraca do chaty
ten, który włada wciąż serc polskich rzeszą
i Polsce plon dał tak świetny, bogaty — — —

Ucieszą się serca — ucieszą —
że nam na Śląsku dane było przecie
wracającemu ku rodzym pieleszom
rzucić przed trumnę swe serca, jak kwiecie —

JAK TO BYŁO PIĘKNIE.

(Na ingres I Biskupa Śląskiego, ks. dra Hlonda.)

Jak to było pięknie, gdy w zimowym zmroku
lud płynął, jak fale górskiego potoku,
by z głębi serc uczcić Pasterza Swojego,
pierwszego polskiego Biskupa Śląskiego,
by zgodnie powitać swojego Pasterza
na znak istotnego z Kościołem przymierza . . .

Jak to było pięknie, gdy w świąteł powodzi
stanęli w ordynku i starzy i młodzi
i z piersi tysięcy zabrzmiało jak dzwony:
Niech żyje Nasz Biskup! Nasz Ojciec Rodzony!
A Biskup, przemawiał w świetlanym obłoku,
a ludzie krzyczeli i łzy mieli w oku.

Jak to było pięknie, gdy stanęli społem
pan, górnik i góral złączonych serc kołem,
jak góral zapraszał Pasterza do siebie,
hen w góry, gdzie jaśniej człek myśli o niebie --
Jak ognie pochodni mimo deszcz i słotę
błyszczały w pomroku, jak gwiazd sznury złote . . .

Jak to było pięknie, gdy nazajutrz rano
na drodze do fary Biskupa witano . . .
Jak to było pięknie, kiedy matki dłonie
całował wzruszony Syn-Biskup w koronie,
jak w każdym się oku mokrego coś szklilo . . .
Jak to było pięknie, hej, jak pięknie było!

ROTA ŚLĄSKA.

(Przed wyborami do Sejmu Śląskiego.)

Nie damy ziemi, skąd nasz ród
I okuć się nie damy —
Twardy my w karku śląski lud
I praw swych cenę znamy —
Nie wydrze ich nam żaden wróg —
 Tak nam dopomóż Bóg!
 Tak nam dopomóż Bóg!

Nikt nam nie bluźnie nigdy w twarz,
Że z sumień handel czynim,
Bo „Bóg-Ojczyzna“ — sztandar nasz
I wiernie trwamy przy nim.
Szlakiem ojcowych idziem dróg —
 Tak nam dopomóż Bóg!
 Tak nam dopomóż Bóg!

Wierzymy — miną ciężkie dni,
Jaśniejsze wzejdą zorze —
Ojców o Polsce złote sny
Sprawdzą się wtedy może.
Wolności wszystkich zabrzmi róg —
 Tak nam dopomóż Bóg!
 Tak nam dopomóż Bóg!

TRZECI MAJ!

3 maja 1925 r.

Witaj Jutrzenko Majowa! Witaj Maju Trzeci!
W dniu gdy Polska — rozśpiewana, rozmodlona
cała — —
i pod niebios strop błękitny echem gromu leci:
Naszej Rzeczypospolitej sława, cześć i chwała!
Bo dziś wielkie polskie święto, wiosenne, majowe,
święto jednej wspólnej chaty i jednej rodziny,
wszystkich wyznań, wiar, przekonań, — Święto
Narodowe —
Święto Polski — Matki wszystkich i Matki jedynej.

Na złocistym tronie, strojna w królewskie szkarłaty
patrzy na nas dziś Ojczyzna i wyciąga dłonie,
błogosławiąc miast skopiska, sioła, kurne chaty,
Najjaśniejsza Matka nasza w królewskiej koronie — —

Patrzy na nas dobrotliwie, jak Matka prawdziwa
uśmiecha się, łązy radości roniąc pokryjomu,
słucha naszych pieśni, życzeń wzruszona, szczęśliwa,
żeśmy znowu tak zebrani w rodzicielskim domu —

A nad tronem — Orzeł Biały, a przed tronem stoi
tłum: sobole, gronostaje i mnisie habity,
chłopska świtka, płaszcz więzienny obok złotej
zbroi,
hełmy, czaka, rogatywki i ułańskie kity,
króle, wodze i hetmani i królewskie panie,
i brać szara — równa królom sercem lub czynami,
książę Józef, Pielgrzym-Adam, Kościuszko w suk-
manie
patrzą na nas i wzruszeni radują się z nami — —

Witaj maju! Maju Trzeci! Jutrzenko Majowa!
Przed niewolą błysłaś jeno jak rozkaz: „memento!”
Powróciłaś a wraz z Tobą wolność narodowa,
która sprawia, że obchodzimy nasze Wielkie
Święto — —
Bo dziś w Polsce wielkie święto — Święto Pojed-
nania —
święto wolnej wspólnej chaty i wspólnej rodziny —
wszystkich wyznań, wiar, przekonań — Bratniego
Kochania —
Święto Polski — Matki wszystkich i Matki jedy-
nej — —

NIE NASZA TO WINA.

18. 8. 10. — 18. 8. 29.

Gdyście się dziesięć lat temu porwali
słabi i mali
na moc stalową wroga - gnębiela,
ufni jedynie w siłę Ideału,
w Prawdy gnębionej dalekie zwycięstwo,
w rozpacz i myśli desperackich męstwo —
tośmy wzruszeni na czyn Wasz patrzali,
na bohaterstwa gest pełen zapału
i choć odległą była śniona chwila,
chwila Zwycięstwa, Swobody, Wolności —
nam się zdawało,
że już się wieko grobowca odchyła,
że idzie era Szczęścia i Miłości...

Że dziś stajemy przed Wami zwaśnieni,
że w kole ojców próżno szukasz syna,
że się nienawiść w kole bratniem pleni —

Nie nasza вина!

Nie nasza to вина!

Łatwiej waśń krzewić, niż wzywać do pracy,
niż zrab budować, zmurszały w niewoli...
Lżej śpiewać. „Albo-śmy to jacy, tacy“,
niż siły czerpać li z tego, co boli,
niż zaciskając zęby, gwałcić duszę,
by rozpacz ukryć przed obcym, przed wrogiem,
dawne, niewolne przeżywać katusze,
płakać i skarżyć się tylko przed Bogiem...

Że w święto Wasze dziś stajem zwaśnieni,
że — jakże często — brat brata przeklina,
że się Nienawiść, miast Miłości pełni...

Nie nasza wina!

Nie nasza to wina!

10 LAT WOLNEJ POLSKI.

Dziesięć lat Wolnej Polski! Dziesięć lat Wolności!
A jednak wciąż się zdaje, że to wczoraj było,
gdy dzieci wypędzały precz natrętnych gości,
co w domu ich praocjów chcieli rządzić siłą,
gdy słabe rączki dzieci wroga rozbrajały,
by mógł nad Polską objąć znów straż Orzeł Biały!

Ludzie nie wierzą w cuda, a jednak, jak cudem
w s z y s t k o się naraz stało, stanęło przed nami,
przed w niewoli zrodzonym i wyrosłym ludem,
że — gdy wspomnę, z wzruszenia oczy mgłą się łzami
i podziw wszystkie zmysły zagarnia w władanie,
że się to wszystko stało i tak niespodzianie.

I dzisiaj nawet nieraz, gdy idę śród miasta
i widzę przechodzący huf młodych żołnierzy,
wzruszenie wraz z podziwem w duszy nagle wzrasta
i oko choć nawykłe patrzy i nie wierzy,
że to już „krzyżyk“ minął, że to nie do wiary,
że to jest nasz, że — Polak, ten żołnierzyk szary.

I policjant — też własny. A choć nieraz w tłumie
ofuknie cię jak tamten z przed dziesięciu laty —
jakoś ci to mniej przykro, jakoś człek rozumie,
że policjant być musi z zawodu „pyskaty“,
że, dzierżąc „władzę“, czasem przeszarżuje w roli,
że zresztą to chłop-swojak i... jakoś mniej boli.

Wszystko własne i swoje — szkoły i urzędy,
podatki (choć z przykrością ale swoim płacę),
a mimo, że nie zbraknie tematów dla zrzędy,
jakoś mi często w mózgu ta myśl się kołace,
żeśmy się zbyt pośpiesznie, rodaczkowie mili,
z tym c u d e m Wolnej Polski jakoś oswoili.

W codziennej czezej gonitwie za kawałkiem chłcba
powszednieje nam wszystko tak prędko, tak łatwo
i dopiero podniety jakowejś potrzeba,
by nam przypomnieć, żeśmy w s z y s c y Polski
działwę,
że nie tylko o chlebie myśleć wciąż należy
lecz troską naszą główną: los naszej Macierzy.

Dopiero trzeba święta i uroczystości,
byśmy sobie wspomnieli o tym wielkim cudzie,
że **dziesięć lat Ojczyzna korzysta z wolności**
i że Jej byt, Jej przyszłość — w naszym spólnym
trudzie
i że od nas zależy, aby taką była,
jaka się ojcom naszym w czas niewoli śniła.

DWIE ROCZNICE.

(1791 — 1921)

Dwie rocznice, jednakże pamiętne i drogie!
Jedna z lat dawnych, kiedy naród w jedno zwarty
praworządność wpisywał w Konstytucji karty,
warcholstwa, samowoli tępiąc czyny wrogie —
Druga — bliższa i w żywej tętniąca pamięci,
kiedy lud śląski z Wodzem swym i Przewodnikiem
złożył dowód, że nie chce już być niewolnikiem
i sprawił, że dziś u nas Trzeci Maj się święci.

Dwie rocznice: moralnych Narodu wartości
i siły, męstwa, hartu Piastowego Ludu,
połączone w dniu jednym jak zrzędzeniem cudu,
by dzień ten był powszechnym dniem polskiej radości,
by dzień ten był powszechnym świętem dla Narodu,
co swą wolność wywalczył po wiekach niewoli
i w dniu tym chce zapomnieć, co gnębi, co boli
w jednym kole braterskim, połączonym Zgodą.

Niestety — bratnie koło nie jest dziś tak zwarte,
jak w dniach owych dwu rocznic... Wyrasta prywatnie.
Gwałtem chce w niewolnika brata zamienić brata.
Szczęście wszystkich dziś mniej jest niżli własne,
warte —

Pełne koryto — hasłem staje się dla wielu,
choćby dla innych nawet miało braknąć chleba —
łzami nasiąka ongi krwią zdobyta gleba —
praworządność się krzywi stosownie do celu...

Ale przyjdzie, przyjść musi, wierzcie, era nowa!
Bywały gorsze czasy... Zewsząd czarne chmury,
zwisając ponad Polską, kryły nieb lazury,
a jednak... błysła przez nie Jutrzenka Majowa.
Przyjdzie wolność! Przyjść musi! Czas taki nastanie,
że wymieciem z ziem naszych wszystkie chwasty,
śmieci
i w dniu Maja Trzeciego wszystkie Śląska dzieci
pójdą razem tak licznie, jak kłosa na łanie.

TRAKTAT WERSALSKI.

28. 6. 29.

(Wiersz wygłoszony na Akademji w teatrze
w Katowicach w 10 rocznicę podpisania Traktatu.)

Po latach walki, po dniach krwi i chwały
zajaśniał wreszcie promienisty świt,
gdy się mordować ludy zaprzestały,
ucichł huk armat i oręża zgrzyt.

W prawa Traktatu został wróg skowany
za zbrodnie gwałtów, tylu matek łyzy —
odetchnął cały świat, wojnę nękaną,
mrący wśród nędzy i oparów krwi.

Wersalski Traktat! Krzywd wiekowych mściciel!
Płód światłych mózgów i szlachetnych dusz!
Rozdartej naszej Ojczyzny wskrzesiciel,
Jej praw do życia nieugięty stróż!

Choć krzyżyk minął, błogosławim Ciebie,
jak w ten dzień wielki z przed dziesięciu lat,
gdyś kres położył morderczej potrzebie
i brzask wolności wniósł do polskich chat.

My — zawsze wierni! Błogosławieństw słowa
szlemy Ci dzisiaj, jak w ów cudny dzień,
gdy Jeoffre z Wilsonem — twa ręka i głowa —
zepchnęli marę walk w przeszłości cień.

Gdy Józef Haller w „błękitnych“ orszaku
pod Łukiem Zwycięstw światu dowód dał,
że nas nie brakło na zwycięstwa szlaku,
ani krwi naszej, ni hekatomb z ciał.

Gdy Dmowski Roman, kiedy mistrz Ignacy
kładli pod Tobą swych podpisów znak,
świadcząc, że nadszedł czas spokojnej pracy
w kraju, nad którym wzleciał Biały Ptak.

Błogosławieństwo Ci! Nie dałeś wiele!
Zostało jeszcze dużo polskich dusz
po za granicą, gdzie nieprzyjaciele
dają im gorycz pić z piołunnych kruż.

Ale nam dałeś to, że możemy sami
w obronie naszej wykuć własny miecz
i gdy czas przyjdzie, zatańczyć z wrogami
i tym, co nasze chcą, powiedzieć: p r e c z!

Ale nam dałeś to, że nie w żałobie
może dziś czcić Cię polskich dzieci kwiat...
I za to dzisiaj błogosławim Tobie
• Tym, co Tobą obdarzyli świat.

**PRZY POMNIKU ś. p. JÓZEFA LOMPY,
NAUCZYCIELA LUDU ŚLĄSKIEGO.**

(Wygłoszony z okazji odsłonięcia pomnika.)

Przed wiekiem, kiedy w lud śląski znękany,
zewszađ nieszczęścia i pioruny biły,
gdy codzień niemal wróg zadawał rany,
gwałtem polskości uszczuplając siły,
był mąż, co wrogom rzucił w twarz te słowa:
— „Polski jest lud nasz i Ziemia Piastowa!”

To J ó z e f L o m p a uczył swe rodaki
i budził ze snu polskie serca, dusze
a choć wróg gnębił go w sposób wszelaki,
ciału i duszy zadając katusze,
L o m p a, nim spoczął pod mogilną grudą,
N a u c z y c i e l e m był swojego ludu.

O Polsce pisał... Uczył starszych, dzieci,
jak służyć Bogu i swemu krajowi
i był jak światło, co nad morzem świeci,
aby wskazywać drogę żeglarzowi —
wierzył i wiarę tę krzewił śród ludu,
że Śląsk dożyje zmartwychwstania cudu.

Sam jeden, skromny pedagog wioskowy,
walczył o duszę szczepu piastowego
z wrogiem, co duszę tę chciał skuć w okowy
i mieć z ślązaka niewolnika swego —
walczył, jak Dawid i bronił swej braci,
by nie spdlili jej krzyżacy kaci.

Czując się Polski synem, w Polsce całej
głosił o śląskim wiernym Polsce ludzie,
co ginie pośród germańskiej nawały,
walcząc o Polskę w syzyfowym trudzie
i sprawił, że gdzie serce polskie bije,
wiedziano: „Polska w ludzie śląskim żyje!”

A kiedy odszedł, po Nauczycielu
poszli uczniowie liczni w Jego ślady:
Miarka i Stelmach i wielu i wielu...
aż do owego dnia historycznego,
kiedy lud śląski z Korfantym na czele
o prawa swoje upomniał się śmieie.

Przed tym pomnikiem lud śląski dziś stoi,
aby hołd złożyć Temu, czyjej pracy
to zawdzięczamy, żeśmy wszyscy swoi,
wszyscy — w rodzinie i wszyscy Polacy
byli, gdy przyszła ta chwila dziejowa,
kiedy ku Polsce szła Ziemia Piastowa.

Biedniśmy bardzo, więc ten pomnik skromny,
mogliśmy jeno dać Mu w znak pamięci
za pracy Jego ogrom wiekopomny,
lecz inny pomnik dziś Śląsk w duszach święci —
tam Józef Lompa ma pomnik wspaniały,
jak Śląsk — olbrzymi, jak Śląsk — wiecznotrwały.

PŁOWCE.

(27 września 1331 r.)

Upłynęło sześć wieków od dnia wielkiej sławy
dla oręża polskiego i polskiego męstwa,
w którym Łokietek sprawił Krzyżakom chrzest
krwawy,
wiodąc polskie rycerstwo po drodze zwycięstwa
i wroga, który gwałtem, podstępem i zdradą
utrudniał zjednoczenie między Polakami
położył, jak żniwiarze polne kłosy kładą
w pamiętnej po wsze czasy bitwie pod Płowcami.

Król-wygnaniec, co całe swe poświęcił życie,
aby zjednoczyć Polskę i przez żywot cały
zwalczać musiał przeszkody, co jawnie i skrycie
z rąk obcych, albo swoich przed nim wyrastały —
na kujawskich nizinach polskimi rękami
ukarał tych, co głównie dopuścić nie chcieli,
by król polski panować miał nad Polakami,
w których swych niewolników poddanych widzieli.

W całym swem życiu ciężkiem, tułaczem-wojennem
marzył król, wzrostem Mały, ale duchem Wielki,
o chwili, kiedy Polska przestanie być lennem,
Polacy — pasierbami w domu Rodzicielki . . .
I dane mu to było ku końcowi życia
znów całą Polskę ujrzeć w królestwo złączoną,
o czym marzył, do czego tęsknił od powicia,
wieńcząc czoło męczeńską - królewską koroną.

I dziś hydra krzyżacka patrzy okiem krzywem,
że Polak śmie się rządzić wolny w wolnej ziemi
i pieni się i wije w opętaniu mściwem
i wciąż grozi swą pomstą i gwałtami swemi...
Patrzmy w przyszłość spokojnie! Co ma być, się
 stanie...

Dopóki jedność kwitnie między Polakami
jak przed pół wiekiem winni pamiętać germanie
nauczkę od Łokietka wziętą pod Płowcami.

W ZOSINE ŚWIĘTO.

(Wszystkim Zosiom w upominku.)

Maj, słońce, wiosna i dzień święta Zosi...
 Stąd jestem w biedzie: o czym pisać w wierszu,
 gdy to i tamto pod pióro się prosi
 i nie wiem, chociaż mam chęć jaknajszczerzą,
 co mam dziś wkleić w „Marginesu“ wnęki:
 majowe cuda, czy Zoś polskich wdzięki?

Że jednak Polak zawsze do kobiety
 lgnie, więc i ja w jej słodkie wpadam sieci
 i — że wiosenka ma swoje podniety —
 Zosiom daruję dziś słonko, co świeci
 i wszystkie wiosny i tych wiosen kwiaty
 i ten wiersz skromny w rymy niebogaty ...

— — —
 Zosie, Zosiuchny, Zosiunie i Zochy!
 Dźwięk waszych imion brzmi jak ptasząt pienia!
 I pan w pałacu i rataj od sochy
 odczuwa piękno waszego imienia
 i choć to imię w świecie całym słynie
 najpiękniej jednak z nim polskiej dziewczynie ...

Gdy słyszę Zosia ... To widzę ułana,
 a przy nim dziewczę z wianuszkim na głowie.
 Jak luba piosnka w dzieciństwie słyszana
 wspomnienia rzewne mkną słowo po słowie
 i oto Zosię maluje mi dusza,
 tę z Soplicowa, z „Pana Tadeusza“ ...

Wszakże wieszcz - Adam znał różne imiona,
wszak pierwszych uczuć kwiaty u ołtarza
Maryli składał, a dusza zraniona
tak często później to imię powtarza,
a jednak uznał, że polskiej dziewoi
„Zosia“ na imię najlepiej przystoi . . .

Więc choć i ja znam Wandzie i Jadwisie,
królewskich imion godne nosicielki,
Bronki i Janki, Stefy i Marysie —
a wszystkie piękne, wszystkie kusicielki —
ale i dla mnie Zosia jest królowa
przez jedną Zosię, przez tę z Soplicowa . . .

I jeszcze drugą . . . Mam matkę kochaną,
co także imię Świętej Zofji nosi
i pewnie dzisiaj, w swych imienin rano
w pacierzu Boga jak codziennie prosi
o zdrowie syna, co gdzieś na rubieży
biegnie dziś myślą do swojej Macierzy . . .

I pewno dzisiaj pocziwe matczysko
jak codzien w myślach gładzi głowę syna
szronem pokrytą, jak gdybym był blisko,
przy jej kolanach . . . i tęsknie, wspomina . . .
Oto dlaczego Zosia mą królową —
przez tę kochaną Zosię z siwą głową . . .

— — —
Słońce i kwiaty! Wiosna! Maj na świecie!
To wszystko dla was moje polskie Zosie . . .
I wszystkie wiosny i tych wiosen kwiecie!
I ten śpiew ptaków, co płynie po rosie!
I ten blask słońca nad mą miejską chatką —
to wszystko dla was, Zosie! Dla Cię, Matko!

„LAURKA DLA MATKI“.

(Z dorocznych wierszyków imieninowych.)

Kochana Matuś! Znowu Dobry Pan dał wiosnę —
znów się murawią łąki, znów kwiatów bez liku
i znów mogę, ścierając z powiek łzy radosne,
napisać Ci, jak co rok, życzenia w wierszyku.

Znów mogę, z ponad biurka patrząc w okna ramy,
za którymi wpółuschły kasztan się zieleni,
wspominać dawne wiosny, te wiosny „u mamy“ —
tak bliskie, choć dalekie w czasie i przestrzeni —

Wspomnień dzieciństwa czarem oddychać na nowo,
niezaćmionych przez żadną ludzkich złości
chmurkę —

gdy Ci Twój pierworodny, chłopię z płową głową —
„deklamował“ życzenia i wręczał... „laurkę“

Wiem, że masz w swym skarbniczku tych laurek parę
i widzę Cię, jak czasem — schylona nad niemi
ocierasz z łez kochane, drogie oczy stare,
zachwycając się liter kształty koszlawemi.

Płyną lata, choć wolno dzień po dniu się zmienia —
w trudach i znoju wspólnie zsiwiały nam głowy...
Płyną lata... A syn Twój w dniu Twego imienia
wciąż Ci może dać jeno... wierszyk laurkowy.

Ale jest Pan! Pan Dobry, co o nas pamięta,
Pan, bez którego nic się na świecie nie robi,
który Ci za mnie, Matko, w dzień Twojego święta
cały świat zielonością i kwiatami zdoła.

Który za Twoje trudy matczyne i troski
da Ci nagrodę hojną i bogatą w niebie —
a tymczasem w miesiącu swojej Matki-Boskiej
zsyła kwiatów tysiące dla Ciebie, dla Ciebie.

*

Matuchno moja! Zoś wszystkich królowo!
Z wszystkich najlepsza, z wszystkich najpiękniejsza!
Choć od lat wielu widzę-ć z srebrną głową,
uczuc mych dla Cię wcale to nie zmniejsza
i zdaje mi się, że żadna dziewczyna
nie jest tak piękna, jak Matuchna moja!

Chociaż dla wszystkich Zoś mam czi niemało
przez wzgląd choć na tę... ze Sopliców rodu,
i tę... z piosenki... co to się jej „chciało
jagódek cudzych, z Jasieńka ogrodu“...
lecz wszystkich Zoś tych i cnoty i wdzięki
bledną przy wdziękach mej starej Zosieńki.

Kiedy na ziemię schodzi wróżka - wiosna
i stroi sady w puchów wonnych szaty,
z pól i łąk czyniąc różnobarwne krosna
i siejąc słońca uśmiechy i kwiaty —
wiem, że to dla Cię tak uroczo stroi
ziemię, dla Zosi, dla Matuchny mojej.

Przeto nie sierzdzcie się zbyt polskie Zosie,
że Jej, a nie Wam dzisiaj splatam wieńce,
ściele pod stopy wiosenne pokłosie
słońca i kwiatów mej siwej Zosieńce,
bo jestem pewien — gdybyście ją znały,
wszystkie ją byście tak, jak ja, kochały.

Dziś w dniu imienin przy Tatusia boku
siedzi wśród „swoich“, z dziećmi i wnukami
i pewnie nieraz myśli ze łzą w oku
o swym „najstarszym“, co gdzieś, za górami,
na krańcu Polski pracowicie kroi
wiersz l a u r k o w y dla Matuchny swojej.

I wciąż żarliwie o to prosi Boga,
by tak skierował życia jego szyki,
żeby najdłużej mógł, Matuchno droga,
składać Ci w dniu Twych imienin wierszyki,
może niezdarne, w rymach szwankujące,
lecz w każdej głosce Matkę kochające.

*

Znów, jak przed rokiem, jak było przed laty,
gdy nas nie było i... gdy nas nie będzie,
znów maj... znów słońce... znowu kwitną kwiaty
i... Wiosna, Wiosna — w polach, w duszach —
wszędzie...

i w tym wiosennym i kwietnym nastroju
dzień, w którym uczcić mam Matuchnę moją.

Dzień Świętej Zofji, tak oczekiwany,
dzień, w którym pragnę, jak co rok, w wierszyku
złożyć życzenia mej Zosi kochanej,
wszystkie opisać Jej cnoty bez liku,
Jej serce wielkie, Jej piękno postaci,
przy której nawet najpiękniejsza straci...

Chciałbym tej mojej Staruszce jedynej
dziś w wierszu duszę moją dać, jak kwiecie
i wszystką miłość, jaką czują syny,
do matek swoich na caluśkiem świecie
i wszystką słodycz miodów wszystkich uli
złożyć pod stopy Staruszki - Matuli.

I choć wiem, że to wierszyk tylko będzie
taki, jak inne z „Marginesów“ ramy,
i to wprost z serca płynące orędzie
będzie li zwykłą „laurką dla mamy“ —
piszę go, bo wiem, że Zosińce mojej,
powie on więcej, niż to, co w nim stoi...

Bo pragnę, aby w tym wierszyku moim,
choćby i w tormie i w treści tak słabym
w dniu, kiedy świat się w wiosny szaty stroi,
o Niej wieściły słowa i sylaby,
by się świat cały dowiedział, jak kocha
Jotes śwę Matkę, co ma imię — Z o c h a.

ŚLĄSK.

KATOWICE.

(Z cyklu: „Sonety katowickie“).

Pośrodku wielkomięjskie szerokie ulice,
zdobne w wystaw kryształę, lampy i pozłoty,
naokół doły, błoto, rudery lub płoty —
dworzec, teatr, więzienie — oto Katowice!

Nie na długo ci starczy do zwiedzań ochoty,
jeśli obejrzyś zbliska miejskie kamienice,
uszminkowane z grubsza, niby dziewczki lice,
a w środku — szczyt tandety i tępej miernoty.

Wokół fabryk kominy dymem czarnym zioną,
otulając mgłą miasto tak we dnie, jak w nocy,
kiedy cię budzą wrzaski, wołania pomocy:
to do dom z knajpy wraca rozbawione grono,
wykrzykując rozgłośnie, z serca wezbranego
stek przekleństw zawieszistych w języku Goethęgo.

TEATR.

(Z cyklu: „Sonety katowickie“.)

Brudne domisko z żelaza - betonu,
starego śpichrza, czy fabryki mury —
brzydkie od dołu, a wstrętne od góry
wdzięczy się kramów i przekupek gromu....*)

Teatr! Fort pierwszy niemieckiej kultury,
więc dostrojony dobrze do jej tonu:
suchy od środka, przesadny z frontonu,
we dnie, czy w nocy brutalnie ponury...

Nigdy nie miało brzmieć tu polskie słowo!
— tak obiecali ci, co go stawiali —
dzisiaj utonęli w życia wartkiej fali,
a teatr wrogi brzmi pieśnią spiżową
tych, których Niemcy za helotów mieli,
nim nie wrócili do ról właścicieli.

*) Przed paru jeszcze laty przed teatrem było targowisko.

PLAC WOLNOŚCI.

(Z cyklu: „Sonety Katowickie“.)

Okragły skwer maleńki w zadymionem mieście...
Kilka drzewek znudzonych... Trawy nikłe grzędy
obsiadły wyciosanych z bali ławek rzędy,
tak mocnych, jakby miały dźwigać pudów dwieście.

Za dnia dziatwa sprawuje tutaj swe urzędy,
legjony mam i mamek trwają w błogiej sjeście,
zwierzając sobie wieczne swe troski niewieście
i krytykując wszystkich, kto przechodzi tędy...

Pośrodku cokół czarny z kwiatami u góry —
sarkofag skromny tych, co dali życie młode
za ziemię ojców polską i mowy swobodę —
Dawniej stąd Wilhelm Pierwszy rzucał wzrok po-
nury...

Zniknął... A może lepiej było go zostawić:
on nie dał nam zapomnieć, że Śląsk trzeba zbawić!

KRÓLEWSKA HUTA.

(Próba parafrazy).

Znasz li ten kraj, gdzie kominów las drzemie,
gdzie dymów płaszcz otula stale ziemię,
gdzie młotów huk jak piorun grzmi o staje,
gdzie syren ryk ci rano spać nie daje?

Znasz li ten kraj, gdzie o zmierzchu czy świcie
górników tłum naraża dla nas życie,
gdzie w ognia skrach, w zaduchu i spiekocie
hutnicza brać pracuje w czoła pocie?

Znasz li ten kraj, gdzie niedawno tak jeszcze
nieszczęśny lud dławiły wroga kleszcze,
lecz wytrwał on w swych ojców polskiej wierze:
swą mowę cził, swe pieśni i pacierze?...

Znasz li ten kraj?
To jest Królewska Huta!
To Polski gród!
Jej skarb, Jej moc, Jej buta!

WYCIECZKA NIEDZIELNA.

Ot, znowu dzień świąteczny —
niedzielne miłe wczasy —
pogoda dopisuje
jakby na zamówienie,
więc każdy, kto mógł, rzuca
miasta i ich hałasy
i rusza na wycieczki
w gór, łąk i pól przestrzenie.

Ruszyli w licznych grupach
turyści i harcerze,
wycieczki szkolne poszły
w Beskid i do Ojcowa —
więc na tak miły przykład
i mnie też chętka bierze,
by także gdzieś wyruszyć...
Marszruta wnet — gotowa:

Pociągiem do Cieszyna
(pół dnia się tylko jedzie) —
a już człęk jest, jak na wsi...
w ciszy, w pustyni prawie...
W kawiarni „pod Jeleniem“
jeden gość tylko siedzi...
Reszta... umarła pewno,
lub — w górach gdzie, na... trawie.

Usiądziesz przy... mamutów
kamiennym, krągłym stole —
pewnie tam pusto będzie,
jak zwykle przy niedzieli...
Każdy z „mamutów“ spędza
święto w rodzinnem kole
i „kawiarniane wieści“
pośród swych bliskich dzieli...

Na rynku Święty Florjan
poziewa w samotności,
wtórzy mu pan policjant
(udziela się ziewanie)...
Nawet w „laub“ cieniu — cisza
i spokój miły gości —
znikły gdzieś Lizki, Rózie,
Gretki, Salusie, Franie...

Czy masz gdzieś spokój, bardziej
wyśniony, wymarzony,
mieszkańcu miast, co chętnie
uciekać chcesz najdalej
przed zgiełkiem fabryk, sklepów,
przed pretensjami żony?...
Jedź do Cieszyna! Wsłuchaj
się w poszum rzecznej fali.

Odetchnij wiatru tchnieniem,
co płynie z górskiej głuszy,
pod wieżą Piastów myślą
pobiegnij w dawne lata —
Ja to uczynię dzisiaj
i już mi lżej na duszy —
i spokój się z nadzieją
w zielony wianek splata.

W CIESZYNIE.

(Sonet.)

Byłem w Cieszynie w święta... Chodziłem nad brze-
giem

Olzy, co po kamieniach wartkie wody toczy,
okiem chciwie błądziłem gór zielonych ściegiem
i granatowych cieni pośród dolin zboczy.

Ległem na łące jasnej w wonnych traw otoczy,
krwią koniczyn zbryzganej i rumianków śniegiem,
piłem miodowy zapach ziół, co zmysły mroczy,
dążąc myślą za chmurek postrzępionych biegiem...

Potem przez ulic miejskich szedłem kurytarze,
cichych zwierzeń słuchając o gwarnej przeszłości —
tam, gdzie władnie zaduma dziś i spokój gości —
Spokój leśnych ustroni i wiejskich cmentarzy...
Cieszyn! Miasto zadumy! W Twojej dostojnej ciszy —
myśl odpoczywa prędej i pierś głębiej dyszy!

ZA MOSTEM.

(Sonet.)

Przez most przeszedłem... Jestem nagle zagranicą...
Miasto niby to samo, lecz wyraz odmienny —
ruch jakiś, jakieś życie, pogwar śmiechem plenny
przebiega przez banalne podmiejskie ulice...

Z za rzeki, nad urwiskiem - baszty szczyt kamienny
patrzy dumnie swych strzelnic oślepiłą źrenicą,
z tej strony on jest niczem — starą kamienicą,
niezdatną na użytek powszedni, codzienny...

Bo tu powszedniość święci swój tryumf wesoły,
a wyrazem potężnym tej powszedniej pracy
jest to, czego nam braknie, kochani rodacy:
to — szkoły, wszędzie szkoły, nowe ^{czeskie} szkoły,
choć tylko raz, gdym idąc, mijał budkę cłową
usłyszałem jedyne w tym dniu c z e s k i e s ł o w o...

UROKI CIESZYNA.

Gdy ci zmierznie powszednich dni szara nizina,
przyjaciół ciągle skargi na kryzys, zastoje —
spakuj, bracie, manatki i jedź do Cieszyna,
gdzie Olza, gwarząc, toczy wartkie wody swoje...

Gdzie uliczki, jak starych kumoszek gromada
biegną na rynek, by się przekonać naocznie,
czy zegar na ratuszu tak jak dawniej biada,
gdy jękliwie godzinę ogłaszać rozpocznie.

By ujrzeć zbrojną postać Świętego Florjana,
jak w benzynową pompę zapatrzony stoi...
(Któraż z niewiast, choć starszych, nie lubi młó-
dziana,
zwłaszcza gdy jest w szyszaku i rycerskiej zbroi?)

Jedź bracie, do Cieszyna, gdzie w starych laub *)
cieniu
będziesz dla wszystkich oczu podziwu przedmiotem
i o twej tam bytności, postawie, odzieniu
będą jeszcze rozmawiać w dwa tygodnie potem.

Wstąp do pustynnej sali pod godłem jelenia
i zasiądź przy okrągłym marmurowym stole,
gdzie paru starszych panów miewa posiedzenia,
światowe sprawy w swoim decydując kole.

*) Stare podsienia na rynku.

Gdy masz żyłkę myśliwską, pomów tam z Nen-
rodem,
co w swych wyprawach dotarł aż do... Białowieży,
widział żubry (pod słowem) — co też jest powodem,
że do „Koła Mamutów“ „tembardziej“ należy...

A gdy będziesz miał dość już tej miłej biesiady, —
idź na zamek, gdzie w krzakach wiatr od gór szeleści,
w starych murach potęgi Piastów szukaj ślady
i słuchaj, co ci o tem stara Olza wieści...

Znów tam byłem i wierzcie, drodzy Czytelnicy,
mam w piersiach ukojenia zapas na dni parę,
jakbym pił „wodę żywą“ z zakłętej krynicy,
co zmienia w baśń dni pasmo powszedniości szare.

NIEMASZ TO JAK NA ŚLĄSKU.

(Wierszyk przedurlopowy a szczerzy.)

Niemasz to jak na Śląsku, na piastowskiej ziemi,
ziemi co jeszcze pomni Polski narodziny —
sławnej na świat szeroki bogactwami swemi
i ludem, co zamieszkał jej wzgórza, doliny!

Niemasz to jak na Śląsku, ziemi ciężkiej pracy,
kopalń, smukłych kominów, pól rodnych i lasów...
Pięć lat już siedzę tutaj, lecz wierzcie — rodacy —
czasem myślę, żem jest tu od dzieciństwa czasów.

Pięć lat już mieszkam tutaj wśród śląskiego ludu
i czasem zapominam, żem — przybysz zdaleka
zrosłem się, zżyłem mocno z twardą śląską grudą
i wierzę, że w jej łonie spoczynek mnie czeka.

Pokochałem lud szczerzy, dzielny, pracowity,
a twardy jak ten czarny djament popod glebą,
tłum matron, w jedwab barwny wstęg, czepców
spowity
i rój dziewcząt, co w oczach mają modre niebo.

Urodziwszych dziewoi niemasz nigdzie w świecie,
nie dziw więc, że Śląsk zda się jak matka rodzona.
Przywykłem... Już „jo“ miast „tak“ w języku się
plecie
i przez usta dość często „wypsnie“ się... „pieroną“.

Niemasz to jak na Śląsku! Nie zdradźcie nikomu
ale powzięłem mocno dziś postanowienie:
żeby się czuć na Śląsku jeszcze bardziej w domu,
napewno się niebawem z ślązaczką ożenię! *)

*) Pisane w r. 1929. Autor dotrzymał przyrzeczenia.
(Dopisek zecera).

WIOSNA.

SZABLONOWE NASTROJE.

Codziennie na tym starym świecie
całkiem się nowe cuda dzieją:
to — nocny mrok, to — słońce świeci
stała, żelazną swą koleją.

Śnieg oto taje... a na piasku
ukrytej pośród drzew polanki
w pieszczocie słonecznego blasku
śmieje się pierwszy kwiat — sasanki.

Na łące, wczoraj jeszcze szarej,
dziś wiatr zielone źdźbła kołysze —
w dolince strumyk ożył stary
i piosnką swą zakłóca ciszę...

Na wierzbach — bazie, dymią brzozy,
puszczając młodych kiełków puchy —
choć w górach jeszcze śniegi, mrozy,
zimowych wichrów złe podmuchy.

Niebo — lazuru toń bez skazy
w jedną niebieskość się stopiło...
Ach! Ileż to już, ileż razy
w wierszykach moich, cudzych było...

Ileż to razy, gdy mi wpadnie
do ręki jakiś tom z wierszami,
po kilku strofach klnę nieładnie,
znudzony wiosny... szablonami...

leż to razy ziewań dreszcze
kryję, w prostocie twierdząc ducha,
że wiersz o wiosnie można jeszcze
pisać li pannom do sztambucha...

A jednak... Czemu w marcu, w kwietniu
gdy z gór potoki mkną wesoło,
coś w duszy gra mistyczną fletnią,
coś ci rozjaśnia nagle czoło.

Coś w sercu budzi rytm szalony,
choć żyło w tobie już lat tyle
i wierzysz nagle w te... szablony,
które ci niosą wiosny chwile.

I błogosławisz promień słońca
i od pól wiatru wonne wieści
i tę lazuru toń bez końca,
co ci nad głową się niebieści.

Żdźbła trawy wiatrem kołysane,
bukiety białych baż wierzbowe —
te wszystkie rzeczy, takie... znane,
te wszystkie rzeczy... szablony.

Mizantrop, sceptyk, bajronista
zapomnisz wszystkie twe „weltschmerze“,
gdy Wiosna, Pani Promienista
przez oczy ci zagładnie w serce.

ZNÓW IDZIE WIOSNA.

(List do przyjaciela).

Kochany Stasiu...

Oto znów przez światy
idą poszepty, podniety, nastroje —
znów wiosna złote otwiera podwoje
do kraju marzeń, snów... jak hen, przed laty...

Znów się pod pióro cisną poematy
o tem, jak szemrzą wśród łąk wilgnych zdroje,
jak oko cieszą kwiatów barwne stroje,
jak ruń na polach wróży plon bogaty...

Znów idzie wiosna... Jak wtedy, gdy młodzi
byliśmy pewni, że dla nas jedynie
wiatr miodem pachnie, słońce wcześniej wschodzi,
tęsknota serca budzi się w dziewczynie,
pożary niecąc w krwi młodej szkarłacie...

Znów idzie wiosna... nie dla nas, mój bracie!

*

Idzie Wiosna, witana poszumem ruczajów
świergotem wróbli, którym też już zima zbrzydła,
mgłą siną, spływającą od borów i gajów
pianiem wiejskich kogutów i porykiem bydła.

Znikły boty i wełny... Jedwabie królują...
Wszędzie lekko i... kuso... (Powagi puklerze
potępić mi to srogo nieraz nakazują,
lecz, że nie jest to brzydkie — przyznają się
szczerze...)

Idzie Wiosna, królowna... W kryształowej wazie,
w której słońce miljardy iskier barwnych pali,
stoją na biurku mojem białe wierzbne bazy,
„polskie palmy“, pamiętne z dzieciństwa
oddali...

Słońce świeci... Niedziela... Niedziela palmowa...
Tłum do kościołów niesie baż bukiety białe...
Idzie Wiosna, serc ludzkich wieczysta królowa,
głosząc życia tryumfy i zmartwychwstań chwałę.

WIOSNA W LUTYM.

Wiosna! choć luty w kalendarzu
i post za pasem jeszcze...
Wiosna! choć panie jeszcze marzą
karnawałowe dreszcze...

Słońce z podniebnej swej świetlicy
tak ciepłe strzały miota,
że człowiek w futrze na ulicy
wygląda, jak idjota...

Wiosna! Dziecięcych nóg gromada
na skwerach piasek depce...
Na ławce para młoda siada
i o czemś cicho szepce...

Panie w cizemkach mkną leciutko,
zrzuciły futer góry —
gdzie spojrzysz: wszędzie kuso, krótko,
dekolty i ażury...

Wiatr niesie z pól upojne wonie
i o czemś cicho gwarzy,
że nagle człek w zadumie tonie
i świeci szczęściem w twarzy...

Nawet policjant, zwykle srogi,
dziś stanął niby wiecha,
okiem gdzieś strzela w niebios progi
i skłódko się uśmiecha...

PIERWSZE LIŚCIE.

Lepkie pąki na kasztanie
jutro liściem się rozwiną...
Małgosieńko, ukochanie,
spójrz tylko, popatrz ino...

Jutro zginie czarność pieńka,
przesłoni go liści wiele —
stanie niby Małgosieńka,
gdy wystroi się w niedzielę.

Małgosieńko! Popatrz tylko,
jak rozkwita każde ziele,
jak się stroi z każdą chwilką,
jak... Małgosia na niedzielę...

Chodźmy-ż tedy w ową stronę,
gdzie drzew zieleń, gdzie śpiew ptaka
i zagrajmy... wiesz... w zielone —
a wiesz o co?... O buziaka!...

Jeśli wygram — wezmę z chęcią!
Przegram — oddam! Nic nie szkodzi!
Małgoś, uwierz mym zakłębom,
że na wiosnę to... uchodzi...

Małgosieńko ukochanie,
nie czekaj aż dni przeminą...
Patrzaj! Pąki na kasztanie
jutro liściem się rozwiną.

KWITNĄ JABŁONIE...

Kwitną jabłonie... Białośnieżne puchy,
czasem różowe jak dziewczęcia lice,
poprzez żelaznych sztachetów granice
chwieją się w wietrze łagodnymi ruchy...

Czasami padnie wonny płatek kruchy
na miejskie, w kurzu zmurszałe ulice,
gdzie go wnet zetrą brutalnie na nice
wiecznie pędzących kół ciężkie obuchy...

Kwitną jabłonie... Przez płotu ażury
mamią ku sobie niby zalotnice
i kuszą, słodkie roztaczając wonie...
I wtedy... bardziej duszą miejskie mury
i bardziej męczą wzrok miejskie ulice...
bo... Wiosna idzie... bo... kwitną jabłonie!...

ŚWIĘCONE JOTESA.

Hej, gdyby to człek w kieszonce
coś grubszego miał!...
Niechby nawet nie tysiące,
jakieś sumy migające,
jakby makiem siał...
Ale ot... tak... wedle miary,
jakieś złote, czy dolary...
gdyby tak człek miał!

Oj, urządziłbym święcone!
Oj, urządziłbym!
Wystrojone, umajone,
jak ze starych ksiąg wyśnione,
zakowane w rym...
Z owych dworków modrzewiowych,
z owych czasów przysłowiowych, ...
co przeszły jak dym...

Hej! Na środku przy baranku —
jaj pisanych zwał!
Dalej bez symetrii szwanku —
baby, placki w zwartym szranku,
jakbyś wojsko siał...
A od tyłu — rezerw rzędy —
gąsioreczków, butli grzędy...
Hej... gdybym tak miał.

Szynka — wagi pół centnara!
Kiełbas — cały stos!
Indyk — tłusty, jak poczwara,
mięsiw, wędlin co niemiara —
w sosyjkach — sos...
Hej! Na samo przypomnienie
już mię świerzbi podniebienie...
Taki to już los...

Sprosiłbym do stołu tego
cały wielki świat:
Wojewodę, Korfantego,
dyrektorów, tych z „ciężkiego“,
bom każdemu rad...
Nawet — intencja to szczerza —
zaprosiłbym Calondera...
niechby pił i jadł.

Zaprosiłbym też do stołu
i skromniejszy lud,
Niechby siedli se pospołu
ten od góry z tym od dołu...
(Jedność — cnotą z cnot!)

Urzędników specjalnie
karmiłbym i poił walnie,
by raz mieli w bród...

Niechby wszyscy siedli społem
przy święconem mem,
niechby kielich krążył kołem
w gronie zgodnem i wesołem,
gdzie „duch“ trzyma prym —
niechby jedli, niechby pili
niechajby się weselili,
aż żeby szedł dym...

Jakby się już najedzono
i podpito fest...
mówkę kropnąłbym uczoną,
by pouczyć gości grono,
że... źle jest, jak jest!
że serc mamy, serc za mało,
że serc by się nam przydało,
przydał bratni gest...

Hej! Gdyby tak człek w kieszonce
coś grubszego miał —
zgrupowałbym na święconce
u mnie ludzkich rzesz tysiące,
jakby makiem siał.
Lecz, że... w kabzie tylko... grosze...
sam się gdzieś na święta wproszę...
Ale... jakbym miał!...

AVE MARIA.

(Majowe nabożeństwo.)

Majowe nabożeństwo... Ponad polskie łąny,
rozradowane słońcem, wiosną umajone,
płynie hymn od dzieciństwa, pamiętny, kochany,
rozzewniająco polski: „Pod Twoją Obronę!“

Płyną w nim słowa prośby, łzami nasilone —
o wstawiennictwo Matki do Pana nad Pany,
o opiekę Tej, której naród dał koronę
i w swych sercach zbudował Jej tron nieskalany...

W świątyni przed ołtarzem, w bukiet zamienionym,
z którego patrzy Matka z Dzieciątkiem na rękę,
w dymie kadzideł płyną słowa antyfony,
łkającej żarem błagań i serc ludzkich męką.

Przy kapliczkach na drogach w majowe zachody,
gdy słońce za las ciemny kryje swą koronę,
płynie pieśń, nieśpiewana przez inne narody,
pieśń do Polski Królowej — „Pod Twoją Obronę!“

Majowe nabożeństwo... Chwila iście święta,
roztkliwiająco rzewna i przedziwnie droga,
w której się nam objawia ufność niepojęta
mas ludzkich do Najświętszej Rodzicielki Boga —
chwila, w której nad łąny, wiosną umajone
płynie nad całą Polską: „Pod Twoją Obronę!“

NA PIERWSZE ŚWIĘTO KRÓLOWEJ POLSKIEJ.

III Maja 1925 r.

Nie mogę ja z całym ludem
dziś razem
przed cudownym Twoim klęknąć
Obrazem
w ten dzień wielki, w oną chwilę
dziejową,
gdy Cię Polską znów obiorą
Królową,
gdy Ci naród złoży berło
złociste
na Królestwo Twoje w Polsce
wieczyste,
gdy Ci dadzą stopy pereł,
klejnoty
i pod stopy ów miesiącek,
ów złoty...

Ale będę, Częstochowska
Maryjo,
słuchał dzwonów, co na Twoją
cześć biją
w całej Polsce od Tatr, sinych
do morza,
hen, z za Odry, aż po wschodnie
bezdroża...
Ale będę, Przenajświętsza
Matuchno,
wtórzył dzwonom pieśnią serca
cichuchną,

a wraz ze mną ten lud cały
ubogi,
ten, co stawia czarne krzyże
u drogi
i w wiosenne Twoje święta,
Królowo,
czci Cię pieśnią, polską pieśnią
majową,
co ucieka się w modlitwach
pod Męką
„Pod Obronę Twą“, Najświętsza
Panienko!
Ale będę, Przenajświętsza
Lelijo,
słuchał dzwonów, co na Twoją
cześć biją!
Tych rozgłośnych z wież wysokich,
podniebnych
i tych cichych, tych z pod koszul
z pod zgrzebnych,
tych, co biją w sercach ludu
w tej stronie,
gdzie na drogach kona Syn Twój
w koronie,
gdzie pod lasem na pniu suchej
sosenki
świeci obraz Matki Bożej —
Paniunki,
gdzie, w obejściu choć najbardziej
ubogiem
Częstochowska patronuje
nad progiem...
Da Ci dzisiaj Naród berło
złociste
na Królestwo Twoje w Polsce
wieczyste.

Złożą dziś Ci stopy pereł,
klejnoty
i pod stopy ów miesiącek,
ów złoty...
A ja pójdę Opiekunko
Ty nasza,
do chat kurnych, na fabryczne
poddasza,
a ja pójdę w nędzy ludzkiej
odmęty,
by Ci jasnych łez uezierać
djamenty —
ojców, matek i łzy dzieci
niewinne —
i ten dar Ci miłszy będzie
nad inne...

Bo nie znajdziesz większych bogactw
na tronie,
jak łzy ludu w Częstochowskiej
koronie!

NA ZIELONE ŚWIĄTKI.

Na Zielone Świątki, na Zielone Święta
pojedziemy sobie, pany i panięta,
pojedziemy sobie na zaciszne gaje,
na murawy łączne, na bystre ruczaje —
Hej!

Pójdziemy piechotą, pojedziem na kole
po murckowskiej szosie równo jak po stole,
pojedziemy autem, albo i koleją
tam, gdzie szczyty skalne do słońca się śmieją —
Hej!

Precz! Precz z miasta dymnych murów
na zielony świat,
tam gdzie kwitną pośród łąki
krasne smołki, modre dzwonki
ostromleczu kwiat —
gdzie wiatr niesie miast zaduchu
od fabryk i hut
z popod lasów chmurnych cienia
balsamiczne, rzeźkie tchnienia,
upojne jak miód.

Hej, gdybyż te dawne czasy,
gdy człek młodszy był —
brał ze sobą swą dziewczynę,
wiódł ją w pola, w góry sine
i czar wiosny pił.

Hej! gdybyż te młode lata,
krwi młodzieńczej war —
słońce, niebo, kwiatów pęki,
uśmiech, kares, uścisk ręki
i ust słodkich żar...

Dobrze, że człek chociaż myślą
może pobiedz w tył
rozejrzeć się śród pamiątek
wszystkich świąt, zielonych świątek,
kiedy młodym był.

Dobrze, że los chociaż człeku
jeszcze pióro dał,
by mógł pisać o dziewczeczce,
o ust makach na wycieczce
śród pól, łąk i skał...

Na Zielone Świąta, na Zielone Gody
pojedziemy wszyscy, i stary, i młody —
jeden w szczęścia glorii i sił młodych szyku,
drugi choć w marzeniu, drugi choć... w wierszyku.
Hej!

Z tą tylko różnicą, że gdy będzie słońca
odejdzie młodemu wycieczek ochota,
a ja powędruję i w czas niepogody
na marzone w wierszu Świąt Zielonych gody.
Hej!

WYCIEGZKA ŚWIĄTECZNA.

(Zielone Świątki w r. 1931).

Święta! Świątki Zielone! Majem uśmiechnięta
Wiosna, zielenią strojna i bzu okiściami
ludzkie serca pociąga w swe rozkoszne pęta,
pieszczotą słońca kusi, wonią kwiatów mami,
przyśpiesza rytmy w sercach, oszałamia głowę,
rodząc tęsknoty jakieś radosne, majowe...
Pociąga w pól bezkresy, na zielone łąki,
na zagubione w lasach milczące polanki,
gdzie nocą rusańczanych śmiechów dźwięczą
dzwonki,
gdy dziwoludy leśne mają pohulanki...
Pociąga w dal, skąd wonny wiatr przynosi w nocy
o wiosnie cudne baśni o przedziwnej mocy.

Drogie Zielone Święta! Jak senne marzenie
rodzi się w głowie projekt miłej eskapady
gdzieś za miasto, na wolne bez murów przestrzenie,
gdzieś na pola, na kwiatem osypane sady,
na podgórskich łąk łąny z konwaljową wonią,
gdzie się w słońcu żdźbła szczawiów rumienią
i płonią.
Gdzieś za miasto... Na wolność... Zdala od kominów,
zdala od trąb, od dzwinków, od zgiekliwych ludzi...

Spocząc gdzieś w słodkiej fali wonnych bzów, jaś-
minów,
gdzieś na trawie, nad rzeczką, przy zoranej grudzie
i choć na kilka godzin w te Święta Zielone
zapomnieć mury miejskie, stęchłe, zakurzone...

Takie dzisiaj w wierszyku chciałem snuć Wam dumy,
gdy nagle — przypomniałem sobie niby zmorę
owe piętnaście procent*), bezrobotnych tłumy,
beznadziejne o jutrze myśli, dusze chore,
„radosną twórczość“ na tle nędzy jak na fali...
I... nie chciałem, nie.. mogłem wierszyka snuć
dalej...

*) Obniżka pensyj urzędniczych.

NASTROJE MAJOWE.

Dziewczyno, skarbie! Nie mów: nie!
gdy chcę cię pocałować...
Bo widzisz... wiosna skończy się
i możesz pożałować.

Bo widzisz... wiosna ma ten dar,
że całus nie jest grzechem —
więc daj mi spać upojny czar
w tych ust wraz z twym oddechem.

Dziewczyno! Daj swe usta, daj
i nie bądź wciąż tak srogą.
Bo widzisz... wiosna, idzie maj
kwiecistą, wonną drogą...

Dziewczyno, skarbie! Usta twe
w nocy mi spać nie dają.
Bo widzisz — wiosna czary szle
w tych snach, poczętych w maju...

Czy słyszysz, o czem szemrze gaj
w poszumie słodkim liści?
Więc daj swe usta, dziewczę, daj!
Niech wiosny czar się iści!

PADA DESZCZYK.

(Z nastrojów deszczowych).

Pada deszczyk i pada
dzień cały,
jakby nieba nademną
płakały...

No i pisz tu „margines“
o wiośnie,
kiedy z góry wciąż kapie
żałośnie.
Pisz, że w słońcu zielenią
się drzewa,
gdy przez cały dzień szemrze
ulewa.
Pisz o czułym spotkaniu
z dziewczyną,
gdy łzy deszczu po twarzy
ci płyną.
Pisz, że wszystko się cieszy,
że żyje,
gdy dżdżu struga ci pełźnie
za szyję,
gdy ci buty na deszczu
spęczniały...

Pada deszczyk i pada
dzień cały.

ODCHODZĄCY MAJ.

Ledwie zawitał, już odchodzi
Maj, cudotwórca - wróż...
W kaskadzie blasków, w barw powodzi
bzów tchnieniem chwilę rozstań słodzi,
ukaja smętek dusz.

Ledwie zawitał, a już znika
królewic marzeń, snów...
Z gęstwiny krzaków, z nad strumyka
żegna go rzewna pieśń słowika:
— Ach powróć, powróć znów!

Idzie, odchodzi znów w zaświaty,
zostawia wspomnień pył,
ułudnych marzeń plon bogaty,
snów niewyśnionych zwiędłe kwiaty,
bezpłodnych zrywów sił.

Odchodzi w otchłań zapomnienia,
żegnany wonią bzów...
Jeszcze się w uśmiech rozpromienia...
Odchodzi... Szlemy mu westchnienia:
— Ach powróć, powróć znów!

CZEGO TY, WIOSNO?

Czego ty, Wiosno, chodzisz po świecie,
czego sprawujesz cuda i czary,
na polach, łąkach rozsiewasz kwiecie
i ptakom każesz śpiewać fanfary?

Słońca uśmiechem zdobisz swe lico
i tam, gdzie stąpisz, świat zda się rajem
i... wmawiasz w ludzi, Wiosno - zwodnico,
że życie nasze jest wiecznym majem...

Czego ty, Wiosno, chodzisz po duszy
i szepcesz takie słoneczne bajki
i kwiaty w serca zasiewasz głąszy —
kwiatuszki łąk - niezapominajki...

W pamięci wstaje dawne kochanie...
usta w purpurze... oczy w błękicie...

I radość nagle przechodzi w łkanie
i... jeszcze cięższe staje się życie.

BOŻE CIAŁO.

Słuchajcie i radością napełnijcie dusze,
 jak niebo lazurami napełnia krynicę! —
 W blasku świec, w mgle kadzideł, w dzwonów
 zawierusze
 sam Chrystus dzisiaj przejdzie przez osiedl ulice...

Sam Pan Jezus, w dobroci swej nieodgadniony,
 przejdzie dziś ulicami wespół z ludzi zgrają,
 aby pobłogosławić nasze polskie strony
 i hołd radosny przyjąć tych, co go kochają...

Po drodze, usypanej płateczkami kwiatów,
 w dzwoneczków rozdzwonieniu i w dymów powodzi
 przejdzie dziś razem z nami Pan, Stwórca Wszech-
 światów
 tą drogą, którą codzien każdy z nas przechodzi...

Cztery razy zatrzyma się w progach ołtarzy
 w monstrancji utajony Ojciec dobrotliwy
 i cztery razy z dobrym uśmiechem na twarzy
 pobłogosławi krzyżem pracy naszej niwy...

Słuchajcie i radością napełnijcie dusze,
 bo oto Pan nasz zejdzie dzisiaj w nasze rzesze,
 ten, który za nas cierpiał krzyżowe katusze
 i życie swoje oddał ku człeka pociesze.

Idźcie dziś karnie śladem Niebieskiego Gościa
 do ołtarzy, co w Polsce całej rozkwitają
 i sławiąc chwałę Jego, gorąco Go proście
 o opiekę w dniach ciężkich dla siebie i kraju.

ZNÓW JEDEN WIERSZYK TYLKO...

Chciałbym wam piosnkę wysnuć dziś wymowną
taką,

by niosła łąk oddechy i leśnej dąbrowy,
by wam skrzydła przypięła, jak niebieskim ptakom
i porwała was z sobą w przestwór lazurowy,
daleko od dyszących żarem murów miasta,
tam, gdzie nad cichą wodą wierzbina porasta.

Chciałbym, by piosnka moja dała wam złudzenie,
żeście rzucili miasto, przenosząc się duszą
w głąb leśną, pod pachnące żywicą sklepienie
konarów, których szmery troski życia głuszają
i usypiają bóle, niby piosnka znana
w dzieciństwie nad kolebką z ust matki słyszana.

Chciałbym wszystkim, co jak mnie wiążą miasta
mury,
dać w piosence choć jedno gór czy morza tchnienie,
choć jeden uśmiech słońca przez liści ażury,
choć jedno kwiatów łącznych stubarwne olśnienie...
Niestety... Ręka martwa słów serca nie słyszy...
Znów jeden wierszyk tylko...

Miasto żarem dyszy...

POCZTÓWKI Z NAD MORZA.

Rankiem na Helu „Grüss Gott“ słyhać wszędzie
z ust autochtonów, gdy ich grzecznie witasz,
choć myślą: „Wkrótce Was tu już nie będzie,
gdy „Teufel“ weźmie ten „dummer“ kurytarz“.
Pozatem jednak grzeczni są i mili,
choćby was chętnie w morzu potopili...

Potem na plażę — kąpiel, opalanie...
Z każdego złazi skóra obolała,
lecz każdy, zwłaszcza nasze piękne panie,
nadstawia słońcu jaknajwięcej ciała
tak, że niekiedy dziwisz się niemało,
skąd aż „tamdotąd“ słońce się dostało...

Potem obiadek: „flondry“ albo „dorsze“
(czytaj „pomuchle“, choć to brzmi mniej ładnie).
Kto lubi rybki, życie ma niezgorsze...
Gorzej, że z jarzyn rzadko Ci coś wpadnie:
kapusta — złoto; marchew — rarytasy,
kalafior — mrzonka dla normalnej kasy...

Brzydko Jotesie, myśleć o żołądku,
gdy masz przed sobą rozszemrane morze,
a nad niem „eden“ wschodniego obrządku:
tysiące „hurys“ o dnia każdej porze
w szatkach... Czyż można opisać... miraże?...
Racja! Precz z prozą!... Idziemy na plażę...

*

Życie nad morzem blednie, gdy deszcz pada...
Żegnaj kąpieli! Żegnaj opalanie!
Rój ludzki w domkach gdzieś nagle przepada...
Zniknęły z plaży „wynimfione“ panie...
Czasem ulicą tylko przejdzie która
w płaszczu, w zawojach, jak zmoknięta kura...

W knajpie jedynie ludniej wtedy bywa
i Feyerabend zgarnia polskie złote...
Każdy z gazetką przy kufelku piwa
narzeka głośno na deszcz i na słońce
i wciąż na niebo ukradkiem spoziera,
czy czasem gdzieś się... jakoś... nie przeciera...

Kto umie, w karty gra, w skata, czy wista,
lub na „dancingu“ wycina „schymmy‘ego“,
trochę flirtuje — to rzecz oczywista,
troszkę z bliźnimi obmawia bliźniego
lecz głównie jednak na pogodę biada...

Życie nad morzem blednie, gdy deszcz pada!

*

Wszędzie to samo — w Gdyni czy Jastarni,
w Karwi czy Helu — grunt by słońce było,
byle się „dekolt“ wysmarzył najczarniej,
byle się wszystko pięknie opaliło,
by potem mówić móżdż w jesiennej porze:
— Ach, panie! Patrz pan, co to może morze!

Stąd też rozmowy plotą się w kółeczko:
— Idziem na plażę? Czy pan wraca z plaży?
— Jakże tam dzisiaj paliło słońeczko?
— Czy pani też się opala na twarzy?..
Lub dla odmiany: — Co Pan, gdzie Pan jada?
i co kosztuje ta cała parada?

Morze i słońce a potem... drożyzna!
Oto trzy główne tematy rozmowy...
Lecz kto był tutaj, ten mi rację przyzna,
że z tą drożyzną, to objaw niezdrowy
i człowiek nieraz wygląda, jak głupiec,
gdy go obdziera paskarz, a nie kupiec.

Sklepów tu niema! Są różne „kramiki“,
w których przygodny handlowiec „kramarzy“
różne „paniusie“ i z „kresów podwiki“,
drą z bliźnich skórę, jak się im zamarzy,
każąc przepłacać trzy razy i cztery —
a rzeknij słowo: masz obraz... megery.

Cobyś w Warszawie kupić za złotego,
tu płąć 3, 4 i strzeż się — broń Boże —
byś nie powiedział słoweczka cierpkiego,
bo „dama“ wzburzy się nagle, jak morze,
i krytykując twoje wychowanie,
powie: „Trza było w domu siedzieć, panie!“

*

Ledwie świt dzienny zarumieni morze
z helskiego lądu na toń morską leci
zew hymnu: „Kiedy ranne wstają zorze“...
To śpiewa obóz „Syberyjskich Dzieci“.
A kiedy słońce kryje się w wód ławy
płynie pieśń: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“.

Tak wita — żegna dzień polskie wybrzeże
i skrawek morza naszego polskiego,
w opiekę Bogu oddając się szczerze
przez usta dzieci z obozu letniego
a że obozy licznie zawitały,
więc często zdaje się — śpiewa Hel cały...

„Dzieci Syberji“ najpiękniej śpiewają
i obóz ich jest najbardziej wzorowy...
Staruszki — sosny przystanęły zgrają
i obserwują ten huf dziatwy zdrowy,
co przybył do nas z lodowych oddali
i dzisiaj pieśnią polską Boga chwali.

NAD BRZEGIEM.

O przyjeźdź! Czeka Cię tu rozszemrane morze,
lśniące złotem, kuszące miganiem opali,
lub rubinów mirjady niosące na fali,
jak aksamit głębokiej o zachodu porze...

O przyjeźdź! Hen z nieznanej zaginionej dali
powitają Cię rankiem różowione zorze,
a wiatr ranny, igrając na morskim ugorze,
da Ci welon z mgieł nocnych, nim je słońce spali...

Szeleszcząc cicho morze do stóp Ci przybieży,
kobierzec Ci z koronek rozściele na piasku,
zdobny w pereł girlandy o cudownym blasku,
co nieskalane drzemią w otchłannej rubieży.

O przyjeźdź! Czeka Cię tu rozszemrane morze
i tęsknota ma mielka jak morskie bezdroże...

H e l, w sierpniu.

POCZTÓWKA Z POZNANIA.

Poznań! Miasto ogrodów, porządku, czystości!
Nawet ten, co się Polski zachwyca stolicą,
niejednego grodowi z nad Warty zazdrości,
gdy przejdzie, czy przejedzie poznańską ulicą,
gdy ujrzy domy, całe tonące w zieleni
i tę czystość, co w Polsce nie wszędzie się ceni...

Podziwiam przed teatrem skwer i park zamkowy
i Plac Wolności, w zielne ujęty rabaty,
obchodzę Poznań stary, zwiedzam Poznań nowy,
gdzie mam na każdym kroku ogrody i kwiaty,
bogactwa zamku, ratusz, muzea, tum stary
i przed Bolesną Matką chylę skroń u Fary...

Chociem tu gościem tylko, czuję się jak w domu,
w tem mieście jędrnie polskiem, co mimo przszkody
nie pozwoli w swych kątach rządzić się nikomu
i polskości swej stale pomnaża dowody,
tworząc jakby potężny szaniec narodowy
i krusząc do ostatka niewoli okowy.

UROKI WILEGJATURY.

(Wiersz ku pocieszeniu tych, co narzekają
na upały w mieście).

Słyszę skargi: — Upał, zaduch,
kanikuła i... ogórki..
Jakże tym zazdrościć trzeba,
co w Beskidzie depcą górki.

Wokół — łąki i strumyki,
lasy o żywicznej woni,
a powietrze — wprost „perfumy“
hen na szczytach, pośród „groni“...

Często-gęsto masz schroniska,
na każdziutkim prawie szczycie,
gdzie człek może się „odświeżyć“
„ciepłem“ piwkiem wyśmienicie.

I dostanie jeszcze blaszkę
(każdy na odznaki łąsy),
że — turysta jest wytrawny
i „tatarnik“ pierwszej klasy.

Mieszkaś sobie we wsi, w chatce,
nie zabraknie ci niczego —
kmieć, gospodarz twój, uprzejmie
traktuje cię niby swego.

Byleś tylko mu w ogrodzie
nie chciał zerwać jabłka, gruszki,
bo to przecież jest „na sprzedaż“,
a nie gościom „na wysłużki“.

Byleś tylko nie chciał czasem,
deptać mu na łączce trawy,
bo to... przecież siano będzie
a nie jest „plac do zabawy“.

Zapłaciłeś — to siedz w izbie,
a nie kręć się... kiele chaty...
Możesz mieć tam towarzystwo:
kury, prosię, pies parchaty...

Otwórz okno — wiejskich woni
asortyment wnet masz cały
(o dwa kroki jest gnojówka —
lek na piersi doskonały).

Ale za to masz jedzenie
wiejskie, proste, przeto... zdrowe —
mleko świeże, gdy gospodarz
twój posiada jaką... krowę.

Jeśli nie — to obok w sklepie
mleko w flaszkach wnet dostanę —
(trochę kwaśne i... dość drogie,
bo z Katowic sprowadzane).

„Kartofelków“ chcesz, to możesz
dostać tyle, ile wola —
(znacznie droższe, niż w stolicy,
ale zato... prosto z pola).

Pomidorków, kalafiorków
możesz codziennie zjadać miski —
(jeśli wyjeżdżając z miasta,
zapakujesz je w walizki).

Codziennie możesz również zjadać
centnar marchwi, czy kapusty —
nota bene, jeśli lubisz
i „pulares“ masz niepusty.

Jajko też czasami można
dostać (jeśli niosą kury)...

Słowem mógłbym snuć bez końca
wiersz na cześć wilegjatury.

Wiersz o życiu w prostej chatce,
w cieniu gruszy, na pagórku,
pod warunkiem, że to będę
pisał w mieście — przy swem biurku.

JESIĘŃ.

Z NASTROJÓW JESIENNYCH.

Puk... Puk... Puk... Natarczywie krople deszczu duże
biją w szyby... bez przerwy... jak kościste palce
przeznaczenia czy śmierci... Wiatry niosą w górze
chmury szare, skłębione, poszarpane w walce...
Nie te wiatry, co wiosną z pieszczotą matczyną,
niosąc zapachy miodne, zrodzone na łące,
gładziły młodociane drzew zielne czupryny,
lecz złośliwe, brutalne, gniewne, chichoczące —
zrywają z drzew omdlałe, pożółkłe listowie,
obnażając czerń kory, burz minionych rany,
i gonią je przez szare jesiennie pustkowie,
gdzie wczoraj jeszcze kwitnął klomb, w słońcu
rozśmiany.

Puk... Puk... Puk... Bezustanku jak palce kościste
puka coś w okna duszy... Lat dawnych wspomnienia
świetlane, snów młodości wizje promieniste,
słonecznych dni uroki, nocy wonnych tchnienia...
Jakieś hufce młodzieży, zjednoczonej bratnio,
kochającej, kochanej... Młode bohaterzy,
gotowe za swe hasła oddać krew ostatnią,
gardzące słuźalcami złota czy kariery...
Jakieś męże dostojne, w niezłomności stałe,
twarde w karku, szanowne i dla przeciwników,

zдобne za życia w niczem niezniszczalną chwałę,
niecenioną na wagę trzydziestu srebrników...

Puk... Puk... Puk... Krople deszczu w szyby jak
śmierć-jędza
biją smutne podzwonne... Wiatr prowadzi tany
i mgły mokre, jesienne po trawnikach pędza,
gdzie wczoraj jeszcze kwitnął klomb w słońcu
rozśmiany.

ZŁOCISTA JESIEŃ IDZIE...

Złocista jesień idzie... Słoneczna pieszczota,
mami serce i łudzi, że to — wiosny echa,
i w sieć marzeń wiośnianych zdradliwie je mota,
złotej, polskiej jesieni promienna pociecha...
Przedziwnych tęsknot poryw w piersiach ludzkich
rośnie,
choć serce wie, że dawno, już dawno po wiośnie...

Złocista jesień idzie... Astrów fiolety,
szepcą baśnie o kwiatach i budzą marzenia...
Ale rozum odpycha te złudne podniety
i słodycz ich, jak jady trujące ocenia,
bo wie, że kiedy jesień rozpocznie swe dzieło,
można już tylko tęsknić za tem, co minęło.

JUŻ SMUTNIEJ, JUŻ CHŁODNIEJ, JUŻ SZARZEJ...

(Z nastrojów po-kanikularnych.)

Już chłodniej, już częściej chmur mokre festony
czernieją wśród niebios ogromu —
z letniska do mężów wracają już żony,
już żonkoś z biur wraca do domu.

Już jeden i drugi, gdy spokój ma w cenie,
oczyszcza mieszkanie w sekrecie —
przegląda „pulares“, przetrząsa kieszenie,
by ślady usunąć po... lecie.

Przez słońca promienie już smętek przeziera,
już krótszy się staje dzień błądy —
już teatr podwoje swe wkrótce otwiera,
już sejm swe rozpocznie obrady...

Liść złoty opada na gazon wzorzysty,
gdzie astry się krwawią na straży —
już znikły jedwabie i wiotkie batysty...
Już smutniej, już chłodniej, już szarzej...

PO WAKACJACH.

O czym tu pisać, gdy deszcz ciągle leje,
wiatr szarpie resztki drzewnych pióropuszy
i zeschniętym liściem na chodniki sieje...
Wilgoć się wciska aż do głębi duszy...
Wszystko zmoknięte, osowiałe, senne
narzuca smętne tematy... jesienne...

Nawet przesławna „sanacyjna radość“,
nieraz dająca do śmiechu powody,
nie czyni swemu powołaniu zadość,
szerząc i w swoich szeregach zawody,
bo w miarę tego, jak kasy puścieją,
trzeba się rozstać z subwencyj nadzieją.

Żony wróciły z letnisk przeziębione,
więc „niepogodę“ ma mąż nieraz w domu —
z westchnieniem lato wspomina minione,
na piwko wpadnie chyba pokryjomu,
żonki „uzdrowić“ czemś się nie odważy,
bo na pierwszego może nie być... gaży...

Nawet w młodzieńczym źródle wesołości,
śród synków, córek też dziwnemi losy
jakowys smętek, brak humoru gości —
usta w podkówkach, opuszczone nosy,
bo się wakacji czas kończy wesoły
i już za dwa dni trzeba pójść do szkoły...

Robotnik, skryba, rzemieślnik czy kupiec
jęczy: redukcje, kryzysy, podatki!...
Z czego więc wierszyk dziś weselszy upiec,
skąd tu ustroić rym w pogodne szatki,
gdy wszystko mokre, oscwiałe, senne
narzuca same tematy... jesienne...

FALSZYWY MAJ.

Dziewczyno, patrz! Znów wiosna
z błękitów śmieje się.

Wesoła i radosna
znów nowym czarem tchnie.

Dziewczyno, patrz! Promieni
słonecznych spływa zdrój —
znów liczko ci rumieni,
wyzłaca jasny strój.

Dziewczyno, patrz! Na nowo
słoneczny idzie maj...

Daj rączkę swą, królowo —
dziewczyno, usta daj!...

Niestety, mój Jotesie! —
odpowie dziewczę-cud —
Maj w twoim „marginesie“ —
to tylko jedna z złud.

Patrz! Jesień już powiewa,
jak chustą w złoty wzór,
zerwanym liściem z drzewa
i przędzie kądziel z chmur.

Przeminął maj, Jotesie...
Już jesień, smutek, zgon...
A tobie ust mych chce się!?
Patrz na swej głowy szron!...

Dziewczyna w głos się śmieje
i w żywe oczy drwi...
Lecz trudno — słońce grzeje,
więc człek... o maju śni.

KULT... NAGOŚCI.

Pogoda się rozmazała...
Niebo po dniach całych płacze...
Barometr, jak spadł na „mokro“,
tak do góry nic nie skacze.

Chociaż według kalendarza,
wciąż jesteśmy jeszcze w lecie —
jesień słotna i ponura
już panoszy się na świecie.

Jesień wieszczą brudne chmury,
jesień w wiatru czuć poświście,
o jesieni cichym chrzęstem
spadające szumią liście.

Drzewa tracą swoją krasę,
szmaragdową swą koronę,
jeszcze trochę — pnie zostaną
i gałęzie obnażone.

Jeszcze tak niedawno lato
miało wygląd tak wspaniały —
falujące zboża łany,
słońce, ciepło, ach — upały...

Świeża zieleń łąk nizinnych,
w lasach wonnych wiatrów szumy,
nad brzegami rzeczek, stawów
wiejskich dzieci nagie tłumy.

A na plażach — jak w Saharze —
opalonych w słońca blasku
tłum murzynów napół nagich,
tarzających się po piasku...

Wszystko przeszło dziwnie prędko,
jesień idzie do nas w gości,
i pozostał tylko z lata
chyba jeden... kult nagości...

Bo to jednak przyzna każdy —
(choć to przyznanie boli),
że pomimo chłód jesienny
coraz bardziej-żeśmy... goli.

I kto okiem patrzy w przyszłość,
smutną sobie dumkę śpiewa:
Jeśli pójdzie tak, jak dotąd —
w zimie będziem, jak... te drzewa.

JESIEŃ W MIEŚCIE.

Jesień!... Już tracą drzewa
pożółkłe swe korony,
ptak dawno już nie śpiewa —
odleciał w obce strony.

Na klombie umierają
zrudziałych astrów kwiaty,
ród wróbli liczną zgrają
zbiera się na debaty.

Słońce już słabo świeci
i traci żar swój boski
na skwerze miejskim dzieci
mają czerwone noski.

Panie w kołnierze zdobne
kryją swych liczków kwiecie
i tylko nóżki drobne
wciąż nagie, tak jak w lecie.

Wiatr przez ulice goni
liść, co pod nogą chrzęści,
złowrogi pokrzyk wroni
słyszać już coraz częściej.

Jesień się z nami kuma
z dnia na dzień... Ach! Czart pal to!
Jotes wciąż duma, duma:
skąd wziąć jesienne palto?

BRZYDKA JESIEŃ.

Już zaczyna świat szarzeć,
już liść kolor ma miedzi,
już z dziewczyną na skwerze
człek niedługo wysiedzi.

Jużbyś z lubą siadł raczej
w domu gdzieś, przy kominie...
Cóż gdy tylko masz pokój
kątem gdzieś, przy rodzinie...

Lub gdyś człeku żonaty —
pani z „badu“ wróciła...
Dalibóg, że ta jesień —
to rzecz bardzo niemiła.

Jedni tylko się cieszą:
krawcy oraz krawcowe —
dla nich chłódów nadejście
to — zarobki gotowe.

A ty, człeku, łam głowę,
skąd wziąć grosz choć na raty,
kiedy banki już nawet
odmawiają wypłaty.

JESIENNE ŻNIWA.

O popołudniu błądzimy po sadzie
pośród drzew, których ramion filigrany
obsiadł owoców rój złoty, rumiany,
a na nim słońce swe całunki kładzie.

Spodem na muraw kobierce pstrokate
spadł potop jabłek... Istne gobeliny,
bezcenne barwą jesienną patyny,
tworzące ziemi przedzimową szatę.

Stąpamy zwolna w uroczej ustroni —
Słoneczna cisza upaja jak haszysz —
Czasem się nagle, jak strzałem, przestraszysz,
gdy drzewo owoc zbyt żrały uroni —

I żał mi, że to owoców zbieranie
nie może przetrwać wiecznie, nieprzerwanie — —

NA SKWERZE.

(Ballada jesienna.)

Kiedy słońca tarcza blada
z za kamienic wyjrzy szczytów,
wnet na ławce skweru siada
trójca starych „emerytów“.

Willem, Froncek, Paulus stary,
przyjaciele od lat kopy —
wszyscy trzej z górniczej wiary,
wszyscy trzej leciwe chłopcy...

Twarze, zmarszczkami znaczone,
jak górniczych ksiąg rubryka,
w rękach „fajfki“ wyszczerbione,
i „presówkę“ każdy pyka.

Pyka z fajki smugi dymne
i na słońko oczy mróży —
Dobre słońko, choć już zimne,
oby trwało jaknajdłużej!

Z drzew pozołkły liść opada,
złotem ścieląc traw posłanie —
rzadko z trójcy ktoś zagada,
czasem westchnie: „Ja, ja, panie“!

I znów cisza... Dzień leniwie
płynie w ślad słonecznej tarczy —
czasem słycać, jak gniewliwie
ślina w fajkach z cicha warczy...

Dobrze starym trzem na ławie...
Słonko grzeje, słonko świeci...
Przychodzą tu co dnia prawie...
Wokół drzewa, liście, dzieci.

Czasem Paulus, co najlepiej
w polskim jest edukowany,
okulary na nos wszczepi,
wyjmie arkusz drukowany...

I przeczyta „kameradom“,
„co w „Polonji“ dzisiaj stoi,
jak powodzi się somsiadom,
co tam Janglik znowu broi...“

Baczenie słyca reszta grona,
trzeźwo waży każde zdanie —
Froncek sarknie: „A pierona!“
Willem westchnie: „Ja, ja, panie!“

Czasem więcej jest „fajeru“,
błykiem zalśnią starcze oczy —
wtedy, kiedy obok skweru
pluton wojska z „waczy“ kroczy.

Już „Polonia“ odłożona,
uśmiech zdoła ust wygięcie...
— Fajnie idą do pierona!
— Tak, jak w naszym reimenencie!

- Młode, ale zdrowe juchy!
- Jeden za nas trzech ob stanie!
- Nasze chłopcy, nasze zuchy!
- Polskie wojsko! Ja, ja, panie...

I znów cisza. Dzień leniwie
płynie w ślad słonecznej tarczy,
czasem słyhać, jak gniewliwie
ślina w fajkach z cicha warczy.

WIEM, ŻE PRZYJDZIESZ . . .

Wiem, że przyjdiesz... Gdy wicher chłodny ogołoci
korony drzew i kwiatów, w wieczór dżdżysty,
słotny —
wiem, że przyjdiesz — popatrzyś na mój grób
samotny,
porośnięty miast kwiatów w krzew dzikiej paproci —
i odejdiesz, smutniejsza jednym smutkiem
więcej — —

Poznasz wtedy, że paproć ta — to moje pieśni ———
Wyśpiewać ich nie mogłem w życia złej rozterce ———
Paproć ta — to ma miłość, którą kryło serce
w tajemnicy przed Tobą — — Niech z nad grobu
cieśni
mówi, że — nikt nademnie nie kochał goręcej!

BABIE LATO.

Babie lato! Babie lato!
Biała nić się w słońcu wije...
No i cóż poradzić na to,
że znów mocniej serce bije.

Że słoneczny promień złoty
budzi letnich wspomnień dreszcze...
Dawne zjawy i tęsknoty
każą wciąż się łudzić jeszcze.

Każę wierzyć promień słońca,
że — choć szronem włos się kryje —
Jeszcze długo nam do końca
jeszcze krew w nas warem bije...

Czarem złudy serca mam, i
że — choć złoty liść się ściele —
jeszcze zima za górami,
jeszcze radość nam, wesele...

Jeszcze, zanim w lodu pęta
starość zwiędłe serce skuje,
śni się wciąż nam młodość święta
i krew w sercach nam gotuje.

Jeszcze grozi nam z pieszczotą
Amor strzałą swą skrzydlatą,
jeszcze wieńce z róż się plotą...

Babie lato! Babie lato!

MELANCHOLJA DESZCZU.

Pada deszczyk pada...
Życiu człek nie rad...
Brudnych chmur gromada
Szarym czyni świat.

Pada deszczyk pada,
Siąpi cały dzień...
W duszę się zakrada
Melancholji cień...

Patrzę przez okien zapotniałe szyby,
zroszone łzami dżdżu jak ludzkie lice,
na lśniąca błotem podmiejską ulicę,
na domostw ludzkich poczerniałe grzyby
i czuję z bólem, jak wilgoć nieznośnie
wciska się w duszę, w serce, w mózg i rośnie...

Deszcz siatką cienką grodzi mnie od świata...
Popod murami pospiesznie jak zbrodzień
przemknie stulony, zziębnięty przechodzień...
I znowu pustka... Szmer deszczu dolata
nawet przez okna jak natrętna skarga
i monotonją resztki woli targa.

Po drugiej stronie stoi koń przy wozie,
rzekłbyś że kawał kamiennej rudery
z ociekającym wodą skrawkiem dery...
Nie drgnie... Skamieniał jakby w jednej pozie...
Łbem ciężko oparł się prawie o ziemię
i kołysany szmerem deszczu drzemie...

I nagle rozpacz takim tchnieniem wściekłem
oblała duszę mą, że wołą całą
stłumiłem łkanie, co się z gardła rwało
i od okiennych ram z trwogą uciekłem...
Bo sam bym z siebie później czynił drwiny
żem mógł, jak dziecko, płakać... bez przyczyny...

Pada deszczyk pada...
Siąpi cały dzień...
W duszę się zakrada
Melancholji cień.

W DZIEŃ ZADUSZNY.

Jesienne smutne święto, spowite cichą mgłą —
minionych dni memento, nasiąkłe rozstań łzą...
Dalekie dzwonią nuty, wspominań cichy zew —
jesienną mgłą osnuty poszum cmentarnych drzew.

W ponurej grobów włości dziś rój świetlików drga
i ruch niezwykły gości — ktoś skarży się, ktoś łka...
Pacierza słyszać słowa — prostaczy starczy głos —
i siwa matki głowa gnie się jak polny kłos.

Hej, ileż łez dziś spłynie w grobowej ziemi pleśń,
ile skarg cichych ninie opuści piersi cieśń,
ale śród smutków toni tam — najsmutniejszy kres,
gdzie skarg już nikt nie roni i nikt nie roni łez.

Gdy ktoś wciąż szedł samotny i ślady jego stóp
pochłonął piasek lotny, aż wszystko zabrał grób...
I tylko w znak żałoby scherlałej wierzby kiść
na takie smutne groby wpółuschły rzuca liść.

*

A gdy pójdziecie dziś pomiędzy groby,
by złożyć hołd tym synom Śląskiej Ziemi,
co w czas niewoli, smutku i żałoby
ku Polsce wiedli was przykłady swemi —
to na ich grobach, które krzyż ocienia,
zróbcie pokutny rachunek sumienia.

A gdy pójdziecie dziś w te smutne włości,
gdzie gęściej rosną krzyże, niżli drzewa,
gdzie wieczny smutek i zaduma gości
i nawet w lecie ptak żałośnie śpiewa —
wniknijcie baczenie w wasze serca, w dusze,
pokajań słowa wymawiając w skrusze.

Uderzcie w piersi się, przyznając szczerze,
żeście nie wszyscy szli, jak ci w mogile,
ci, którym dzisiaj niesiecie pacierze
w te poświęcone im zaduszne chwile,
żeście niezawsze szli za ich wzorami
w walce o Prawdę z tej Prawdy wrogami.

Przyznajcie, żeście w rozterki godzinach,
które i oni — jak wy — przeżywali,
myśleli często o zyskach, wawrzynach,
miast za ich wzorem mieć serca ze stali
i iść jak oni tą ciernistą drogą,
gdzie płonie hasło: „Ojczyźnie i Bogu!“

I oni mieli ciężkie chwile w życiu,
pasma dni szarych bez nadziei słońca,
zawsząd wróg groźny, jawny i w ukryciu —
a jednak mężnie szli i szli... do końca —
ufni, że kiedyś błysną świtu zorze,
że nie im — dzieciom lepiej będzie może...

Wróg kusił, groził... Rozdawał posady...
opornym groził siłą i zniszczeniem...
A jednak rzadki był wypadek zdrady —
każdy ku Polsce szedł w zgodzie z sumieniem...
A wy?... Jak często dla zysku, czy z trwogi
sumienie wrogom ścielecie pod nogi.

A wy?... Jak często za lepszy kęs chleba
zapominacie o godności waszej,
zginacie karki, trzeba czy nie trzeba,
liżecie rękę, która grozi, straszy...
Nie tak, jak oni, ci — co cicho drzemią
pod wywalczoną przez nich śląską ziemią...

Więc gdy pójdziecie dziś pomiędzy groby,
by złożyć hołd tym synom naszej ziemi,
co w czas niewoli, smutku i żałoby
ku Polsce wiedli was przykłady swemi —
to na ich grobach, które krzyż ocienia,
zróbcie pokutny rachunek sumienia.

ZIMA

PIERWSZY ŚNIEG.

Widziałem dzisiaj śniegu biel...
Spadł jasny, czysty po to,
by — gdy już posiadał drogi cel —
zostać wdeptany w błoto...

Widziałem puchy śnieżnych łśnień
radośnie wirujące,
jak rój motyli w letni dzień
na ukwieconej łące...

W wesołym płasie śnieżków rój,
z gwiazd tkany najmisterniej,
zbrudził swój nieskalany strój
w ulicy miejskiej czerni.

Liljowo-białych płatków skry
zbrudziła miejska ślota,
jak ludzkich marzeń, złudy, sny,
gdy dotkną się do... błota.

MRÓZ.

Ponad zmarzniętą grudę ziemi,
w kępy zczerniałych wierzb i łoż
idzie ścieżkami srebrzonemi
mróz srogi, pierwszy mróz.

Nad lasem płynie, nad polami,
spędza, rozgania bure mgły
i sieje skrami niby łożami
i sieje srebrne łoży.

Po drogach lodem skutych kroczy
w ciasne opłotki ludzkich chat,
łoży srebrne kreśli w szyb przeźroczy,
przesłania łożami świat.

Idzie w zziębniętych psów skowycie
z północy hen w nieznany kres...

Jakby to ludzkie szare życie
nie miało dosyć łoż.

PRZED ŚWIĘTAMI.

(Z rozmyślań samotnika.)

Świąteczny gwar, świąteczny ruch,
przed wystawami tłumi...

Córeczka-kwiatek, chłopiec-zuch,
ojcowskiej źródła dumy,
wskazują przez wystawy szkło
zabawek pudła liczne:

— Patrzaj, tatusiu, to... a to...

— Ach, jakież to prześliczne!

— Patrzaj, tatusiu, lalka ta
w krakowskim jest gorsecie,
a tamta znów sukienkę ma,
jak babcia na portrecie...

— A ta szabelka, spojrzeć chcesz,
patrzaj, jak lśni dostojnie,
podobna jest do szabli twej
coś nosił ją na wojnie...

Ojciec szczęśliwy z dziatwą swą
gwiazdkowe snują plany...

Samotnik z boku słucha to
i stoi... zadumany...

Wokół gwiazdkowy ruch i gwar...
Przed wystawami tłumy...

Wierzcie! Niewielki mają czar
takie samotne dумы.

SAMOTNA GWIAZDKA.

Poświęcona ś. p. Stanisławowi Przybyszewskiemu.

Ustroję choinkę wspaniałą
i pod nią usiądę sam z sobą —
Wierzajcie, rozkoszą niemałą
jest sjesta z tak godną osobą.

Jak każe tradycja w tej dobie,
sto świeczek zapalę wokoło
i wmówię mej zacnej osobie,
że będzie nam bardzo wesoło . . .

Podarki pod drzewkiem położę,
kupione za dnia pokryjomu —
jak dawniej bywało, w tej porze,
gdy dziećmi bawiliśmy się w domu :

bieliznę wełnianą na chłody,
i łyżwy, błyszczące jak słońce,
i książkę z tytułem : „Przygody“,
i . . . wspomnień, i wspomnień tysiące . . .

Połamiem opłatek bielutki,
wzruszenie zachmurzy nam czoło —
lecz zaraz napijem się wódki
i . . . znowu nam będzie wesoło.

Lecz jeśli... Lecz jeśli... przypadkiem
łzy gorzkie napłyną w źrenicę,
porzucę choinkę z opłatkiem
i pójdę się błąkać w ulice...

W czas późny, gdy nikt już nie chodzi,
ulicą wśród mroźnej zamieci
rozpocznę cichutko, jak złodziej,
zaglądać, gdzie w oknach się świeci.

Przez szyby, jak w sklepu wystawie,
przez szkliwo ocz, które się łzawią,
podglądać wciąż będę ciekawie,
jak ludzie się cieszą i bawią...

A jeśli wśród nocy ogromu
dobiegnie mnie nuta kolendy —
znów myślą powrócę... do domu...
do tego... z dzieciństwa legendy.

Katowice, w r. 1925.

POCHWAŁA ROKU STAREGO.

(Elegja może niezbyt wesoła, ale uczciwa).

Tyle razy żegnałem cię już, Roku Stary,
i tylem razy witał cię już, Roku Nowy —
w wierszu czy też wierszyku częstochowskiej miary,
by dzień pierwszego stycznia ubrać w płaszcz
godowy.

Tylem razy zwymyślał w mrok odchodzącego,
że był kretyn, idjota w kaździutkim sposobie,
oszust, zdrajca, że pewno na wspomnienie tego
każdy z nich się przewraca z oburzenia w grobie.

I tylem razy wmawiał w czytelników rzesze,
że ten nowy, cō idzie, to — powodzeń studnia,
tak go chwaliłem zacie ku ludzkiej pociesze,
by go potem skląć brzydko w dniu ostatnim grudnia.

I tak okłamywałem i innych i siebie,
mieszając nadzieję słodycz w wiersza cienkim trunku.
że dziś, kiedy myślami w latach dawnych grzebię,
nie mam już do lat „n o w y c h“ żadnego szacunku.

Przypomina się chińskie mi stare przysłowie,
Że — lepsze zawsze stare, to — co dobrze znamy —
tak jak zawsze są lepsi ci mandarynowie,
których za ciężkie dla nas rządy przeklinamy,

od tych, którzy dopiero przyjadą z stolicy,
a chcąc zrobić karierę w sposób jaknajskorszy,
wyciskają łyzy krwawe z ócz ludzkich krynicy. —
Zawsze bywa następca od przed-stępcy gorszy!

Zresztą poco aż jechać w kraj tak egzotyczny
pośród ludzi, odmiennych i włosiem i farbą,
kiedy mamy u siebie też przykład klasyczny:
wystarczy pod uwagę wziąć... ministrów skarbu.

Zmieniali się, aż śmiali się z tego sąsiedzi,
że dłużej nawet służy warszawska kucharka...
A dziś co? Mądry rad jest, że Grabski *) wciąż
siedzi,
choć ten i ów się skarży na niego i sarka.

To też przyznaję dzisiaj, że zbyt lekkomyślnie
krzywdziłem „stare“ lata, które umierały,
witając „Nowe Roki“... Ręczę wam, że dziś nie
umiałbym was i siebie brać na te kawały...

Gdybym miał dziś potemu odpowiednie moce,
sprawiłbym, żeby Stary Rok — dwudziesty czwarty
nie zginął w noc dzisiejszą w dziejowej pomroce,
lecz jeszcze nadal zdołał kalendarza karty.

Jeżeli pomówimy ze sobą uczciwie,
musimy przyznać, że rok ten nie był ostatni,
zawiódł nas wprawdzie trochę na rolniczej niwie
i kazał wielu cierpieć w bezrobocia matni,

*) Pisane w sylwestrowy wieczór 1924 r.

lecz jeśli rozejrzemy się po całym świecie,
biegnąc myślą i po za oceanów fale,
zawsze gdzieś lud roboczy bezrobocie gniecie,
wszędzie rolnik do Boga miewa wieczne żale.

Zato winniśmy Stary Rok mieć w dobrej cenie
i życzyć sobie nadal podobnych rozkoszy,
że przestał milionami niszczyć nam kieszenie
i każdemu dał trochę, ale pewnych groszy.

Co do mnie, jeszcze za to wart on mej wdzięczności
że mi pozwolił poznać Górnośląską Ziemię,
kraj, w którym pod powłoką polskiej rubaszości
tyle cnót jasných, polskich w polskiej duszy drzemie,

gdzie, pomimo iż wszystko zdobywa się w trudzie,
codzielną myśl mą kołyszą radosne zachwyty,
że w tym kraju bogatym i w tym dzielnym ludzie
Polska ma szaniec wiecznie-trwały, niezdobyty!

Oto dla czego chciałbym, by dwudziesty czwarty
królował u nas jeszcze choćby latek parę,
aż postępując w sposób przez niego utarty
zapomnimy niewoli i walk lata stare.

K. † M. † B.

W iście świątecznym wczoraj powstałem nastroju,
w duchowy spokój dziwny i radość bogaty,
„K † M † B“ wypisałem na oddrzwiach pokoju
i wykadziłem kąty skromnej mojej chaty.

A potem duszą czystą, dając myślom wodze,
pobiegłem za dźwiękami kolendnej piosenki
po tej jedynej jasnej i prawdziwej drodze,
którą kiedyś królowie szli do wrót stajenki.

O Jezu! Wiem, że ludziom, pogrążonym w grzechu,
trudno dziś znaleźć drogę tę, co w mgle się traci —
jedno jest tylko mnie gorącą pociechą,
że myślą mogę złożyć Ci hołd mój i braci.

Że wolno mi bez myrry królewskiego wiana
pobiegnać myślą lotną do stajenki progu
i z pasterzami społem padłszy na kolana,
przy żłobku „gloria“ śpiewać Maleńkiemu Bogu.

PSOTY WIATRU.

(Strofki wiosenne nie na czasie).

Doleciał mnie dziś zrana ciepły wiatr od pola,
niosąc zbłąkany skądściś zapach ornej ziemi —
ten oddech, którym dyszy rozorana rola,
zmęczona pieszczotami słońca gorącemi.

Zaleciał mnie dziś zrana zapach rzeźki, miodny,
niesiony z pól dalekich w wietrzyka powiewie,
zapach radością życia i zachwyków płodny,
i tęsknotą serdeczną brzemienny w swym siewie.

Doleciał mnie dziś zrana ciepły wiatr - włóczęga,
co wędruje po świecie na me utrapienie,
do głębi serca śmiało i brutalnie sięga
i niewczesnie w niem budzi radość i marzenie.

Tylko gorycz przynosi ta wiatru pieszczota,
bo cóż z tego, że rankiem niesie miodne wonie,
gdy na świecie jest luty, szaro, wilgoć, słońca,
w wieczór latarnie płoną w mgieł gęstej zaślonie...

Tylko smutniej na duszy, gdy nagle bez racji
wiatr wiosennych ci figłów wyczynia karesy
a w wieczór iść po słońcu musisz do redakcji
i o szarości zimy pisać „marginesy“...

WIELKI PIĄTEK.

Umilkła dzwonów pieśń ze spiżu...
Gromnica trupim blaskiem płonie...
W krwawej cierniowej swej koronie
umiera Chrystus Pan na krzyżu...

O Chryste! zali było warto
dla tej spodłałej ludzkiej rzeszy,
co ciągle gniewa Cię, wciąż grzeszy,
zakończyć żywot męki kartą.

By przez śmierć straszną i cierpienie
dać ludom ziemi odkupienie?

O Stwórco! Zaliż było trzeba,
by dla tych istot z prochu, z gliny
umierał w męce Syn jedyny,
któregoś dla nas ześłał z nieba —

i w oczach Matki nieskalanej
był przez nas samych krzyżowany?

Na kościół w mroku pogrążony
gromnica trupie blaski sieje...
Na krzyżu Chrystus w męce mdleje...
umilkły dawno wszystkie dzwony...

RÓŻNE.

CHOINKI W MIEŚCIE.

Przybyły z lasu choinki do miasta,
stały rzędem oparte u płota
i nad topielą ulicznego błota
gaik zielony cudownie wyrasta.

Strojne w koronki sukienek z igliwia
dziwi je miejski gwar i ożywienie,
mami kryształnych szyb mistyczne lśnienie
i zachwyty tłumy, który je podziwia.

Czasem płochliwy wiatr w gwałtownym rzucie
przyniesie w miasto dalnych lasów szumy,
strzep mgły nadrzecznej i polnej zadumy
i lęk przed jutrem i zgonu przeczucie...

Choinki! Znam się z tą waszą tęsknotą!
Jam także kiedyś przyszedł z pól rozdola
w miastowe mury... I choć ciężka dola
i życie ciężkie... już niema powrotu...

ZMIANY ŻYCIOWE.

(Z rozmyślań optymisty.)

Nie skarż się, przyjacielu! Życie jest dość cenne...
Ciągłe zmiany go słodzą, niby cukier kawę...
Jasne chwile przegrodzą zawsze chwile ciemne
i z przykrych wspomnień miłą uczynią zabawę.

Zmiany w życiu potrzebne! Nikt się nie starzeje
na stolcu wojewody. W tem — źródło pociechy...
I dyrektor teatru miewa „smętne“ dzieje,
gdy mu prasa wyrzuca i błędy i grzechy...

Wszystko zmienia się ciągle niezawsze na gorzej!
Raz się jest trochę w górze, to znów zjeżdża z górki...
Trudno!... Burmistrzem miasta każdy być nie
może —
wielkiej trzeba protekcji do tej synekurki.

DAWNIEJ I DZIŚ.

(Strofki elegijne.)

Wyśmiewałem się nieraz — przyznaję się szczerze —
i nawet wykpiwałem w wierszykach aż miło,
że starość na dzisiejszy dzień zazwyczaj gderze
i zawsze chwali „wczoraj“: — Dawniej lepiej było!
A dziś, chociaż do starców nie liczę się przecie
i choć mimo łeb siwy jestem chwacki wcale,
nieraz skarga na „dzisiaj“ w rymy mi się wplecie
i wyśmiewane przedtem „dawne czasy“ chwale.

Nie mówię o zamierzchłej z przed wieków prze-
szłości,
gdy na drogach czekały-ć rozbój i rabunki,
bo i dzisiaj niebardzo-ś pewny całych kości,
zwłaszcza gdy z opozycją masz jakieś stosunki.
Wstrętne mi też z okrucieństw słynne średniowiecze,
gdy „mistrz“-oprawca stale miał coś do „roboty“,
bo i dzisiaj cię siepacz do kaźni zawlecze,
jeśli śpiewać, jak każą ci, nie masz ochoty.

Myślę o tym „wczorajszym dniu“ z mojego wieku,
kiedy jako płynęło łatwiej ludzkie życie,
a jeśliś miał maturę, czy dyplom — człowieku,
miałeś chleb zapewniony, żyłeś wyśmienicie.

Dziś gdy masz dyplom jaki, czy doktorat w tece,
schowaj go gdzieś na piecu i nie zdradzaj tego,
wtedy może się wciśniesz — przy czyjejś opiece —
na „ciskacza“ do kopalń, czy gdzieś na woźnego.

Chyba, że będziesz wierzył tak, jak moda każe,
dla porywów wolności na klucz zamkniesz serce,
„prawo siły“ wypiszesz na swoim sztandarze
a Prawo stale będziesz deptał w poniewierce —
wtedy, choć w duszy będziesz miał gorycz i kwasy,
może będzie-ć się dzisiaj jakoś lepiej żyło?...

Naprawdę czasem warto wspomnieć „dawne
czasy“ —
Starzy mawiają słusznie: — **Dawniej lepiej było!**

SAMOWYSTARCZALNOŚĆ.

(Z cyklu: dawniej i dziś.)

Słynęliśmy dawniej
z naszej zasobności
i byliśmy krajem,
gdzie dobrobyt gości.

Dawniej sprzedał szlachcic do Gdańska pszenicę
i miał za nic sobie całą zagranicę.

Dzisiaj chociaż rolnik
stale biedę klepie,
lecz przemysł i handel
stoją... jaknajlepiej.

Niepotrzebne zgoła
nam obce podwoje,
czego dusza pragnie
wszystko mamy „s w o j e“.

Mamy masło „duńskie“,
i „szwajcarskie“ sery
„angielskie“ szewioty,
„francuskie“ likiery.

„Rumuńską“ pszenicę, „serbską mamałygę“, „gdańskie“ papierosy i „turecką“ figę, „badeńskie“ pier-

niki, „hiszpańskie“ sardynki, „argentyńskie“ tanga i „westfalskie“ szynki, „elblądzkie“ minogi, „syberyjskie“ charty, „perski“ proszek na pchły i „norweskie“ narty. Są zapałki „szwedzkie“, „włoskie“ kalafiory, „niemieckie“ cygara, „sowieckie“ kawio-ry, „belgijskie“ koronki, „holenderskie“ śledzie, „greckie“ winogrona jemy po obiedzie. Jest „węgierska“ bryndza, „duńskie“ rękawiczki, auta z „Ameryki“, „japońskie“ trociczki, moc perfum „paryskich“ i „praskich“ bucików, nawet „austriackich“ mamy... urzędników.

„Brazylijskie“ boby
i „chińskie“ herbaty.

Jedno nam zostało —
p o l s k i e tarapaty.

WILCZY RAJ.

(Bajka według Ezopa.)

Był sobie Wilk... Wilczysko... Starowina...
z zliniałą skórą, z zapadłymi bokami...

Z pyska ciekła mu ślina
a skoki,

gdy za zwierzyną gnał, ile miał siły,
jak niegdyś, za młodu,
już nie służyły...

Wiedział, że z czasem przyjdzie zemrzeć z głodu.
Widząc koniec potęgi swej w kniei i w lesie,
jak fama niesie,

zebrał wilczków - młodziaków dość liczną gromadę
opowiedział im legendy o sobie,
urządził jedną i drugą paradę
i stał się królem ku kniei ozdobie.

Wilczki były młode, głupie
i wiecznie głodne.

Aż jęczy knieja, gdy to towarzystwo godne,
w kupie
polując dla króla,
po lasach hula.

Wilczysko miało chwałę i jadło do syta,
najadłszy się, spało,
czasem nawet figlowało
rubasznie,
po wilczemu
i kwita.

A wilczki w kniei po swojemu
dokazują strasznie.
Większość mieszkańców kniei została zjedzona,
co podlejsi i mniejsi
z leśnego grona.
Inni, możniejsi,
gdy im wilczki zbyt dopiekli,
uciekli...
W kniei brakło zwierzyny. Wilczyśko się sroży
na swoje sanowniki,
obiecuje im wnyki,
a tu — coraz gorzej!
Raz król w śnie poczuł ból w końcu ogona...
Oczy przeciera...
Widzi, jak młode wilczątko-przechera
z głodu mu ostre zęby w ogon wpija —
Taka bestyja!
Wilczek ukaran był przykładnie,
lecz było to początkiem końca
królestwa wilczego,
gdyż dnia pewnego
przed wschodem słońca
głodne wilczęta na króla napadły
w ciemności
i wraz z ogonem go zjadły.
Taki był koniec króla jegomości...
Potem się zjadać jęły po kolei
nawzajem
aż przyszli ludzie do kniei,
wycięli drzewa, zasiali zboże
i rozpoczęli pracę w imię Boże.
Tak się skończyło z owym wilczym rajem.

POTULNE BYDLĘ.

Bajeczka.

Dnia pewnego, w pewnym czasie,
w pewnym kraju, w pewnej klasie
nauczyciel dał pytanie :

— Hej, uczniowie!

Kto jest odpowiedzieć w stanie,
niechaj wstanie
i odpowie!

Co za zwierzę,

które można skubać stale
i co miesiąc drzeć zeń pierze
bez protestów i bez „ale“,
byle tylko czuło siłę?

Co to za bydlątko miłe
można skubać za... tiurniurę,

z przodu, z zadku,

a w dodatku

raz na rok zeń zdzierać skórę?

Klasa blada

darmo szuka odpowiedzi —
ten się stara, tamten biedzi
w czoło drapie, w nosie dłubie
albo się za włosy skubie,
patrząc z boku na sąsiada,
ale... nikt nie odpowiada.

Wreszcie jeden z tylnej ławy

rękę wznosi,

o głos prosi

i odpowiedź swą w ferworze
rzuca nad kolegów głowy:

— Ja wiem, panie profesorze —
to jest... **płatnik podatkowy!**

WYWIAD.

Zadziwi Was, Czytelnicy,
nadzwyczajna ta nowina!
Byłem wczoraj na wywiadzie!
Gdzie?... U pana Cziczerina.

Przejeżdżał przez Katowice
w salonowym swym wagonie
(komfort nawet bolszewicy
mają za rzecz w „dobrym tonie“).

Strzeżon był, jak oczko w głowie,
lecz zgwałciłem się kordonu:
chyłkiem, milczkiem, trochę... gębą
i już... włożę do wagonu.

Gdy mnie zoczył, krzyknął: — Zdrawstwuj,
Iwanie Romanowiczu!
Nie spodziewał ja się spotkać
ciebie tu na pograniczu.

Wchodź pan! U mnie żurnalisty
wszędzie druchy! Wchodźże, proszę!
Jest „zakuska“: siomga, ikra —
u was drogie to rozkosze!

Wchodzę... Widzę — stół nakryty,
w kuble z lodem „oczyszczona“,
grzybki, rybki, w wazie — kawior,
gruby, niby winne grona...

Przełknęliśmy po kieliszku
i zaraz na „drugą nogę“...
Nim przystąpię do wywiadu,
pytam grzecznie go o drogę.

— Niczewo! Dosyć wygodnie!
Nawet na zgniłym Zachodzie
może dygnitarz Sowietów
jechać w cieple i wygodzie.

Ale wypijmy po trzecim
i spróbuj kawioru, panie.
U was nawet poczt minister
jeść takiego nie jest w stanie.

Wypiliśmy... Wreszcie pytam,
co tam słyhać w polityce?
— Ano idzie! — rzekł Cziczerin —
Zawstydzamy zagranicę!

Dyktatura u was w modzie...
A skądże to ona rodem?
Zawsze Wschód, mój żurnalista,
miał przewagę nad Zachodem!

Był car w Kremlu, Lenin, Stalin!
A za naszym tym przykładem
w Europie tu, tam, wszędzie
różne dyktatory jadą.

U nas z świętyn robią kina,
bez Boga chcą chować dziecko...
U was też są jacy tacy,
co chcą widzieć Polskę... „świecką“!

Idziecie za nami w tyle,
naśladując to i owo!...
Ale napijmy się! Oto —
polecam tę „riabinową“...

Piliśmy i gadaliśmy,
a gdy pociąg znikł ze stacji,
pomyślałem, że jednakże
Cziczerin ma... trochę racji.

O POLICJI.

(Margines podsłuchany.)

Zdarzyło się dwom służącym
spotkać kiedyś w hali —
jedna drugiej głosem drżącym
skarży się i żali.

— Wiesz ta Franka się wydała!
Ma chłopca ładnego...

— Ach, jabym za męża chciała
Posterunkowego.

— To wyszukaj se takiego!
Czy masz bielmo w oku?
Przecież posterunkowego
Masz na każdym kroku.

— Ba, wyszukać?! Łatwa rada!
Trudniej wskazać drogę!
Dzień za dniem jakoś przepada,
a znaleźć nie mogę...

Podśluchałem...

Niepochlebna
a odwieczna tema:
Jak policja gdzie potrzebna,
to nigdy jej niema!

PIOSNKA URZĘDNIKA.

(Krakowiaczek.)

Hejże — dana — dana!
Urzędniczek ci ja!
Niezredukowana
szczęśliwa bestyja!

Niemasz to jak nasza
urzędnicza dola —
tak rdzennie-ślązaka
jako i „gorola“.

Odjęli nam wprawdzie
procentów piętnaście,
by nie było zbyt ków
w jadle i omaście.

Ale urzędniczek
to — nie pszczyński ksiązę
pomimo tej niżki,
koniec z końcem zwiąże.

Nie zakupi książki,
nie dotknie dziennika —
to zbyt cenne rzeczy
dziś dla urzędnika.

Rzuci papierosy,
nie tknie piwa, wina,
ominie zdaleka
teatry i kina.

A kiedy to wszystko
do kupy zsumuje —
już z owych „procentów“
nic mu nie brakuje.

I wnet na obliczu
radość mu zagości,
że go rząd w ten sposób
uczy... oszczędności.

Naturalnie są też
tacy z naszej braci,
co się na to skarżą,
ale... pal ich kaci.

Niech sobie w dostatki
opływa hołota —
cnoty urzędnika:
skromność i prostota.

Jeśli dalej pójdzie
takie „nauczanie“
urzędniczek wkrótce
nawet jeść przestanie.

I wtedy go czeka
karjera światowa,
przed którą się nawet
„piąta grupa“ schowa.

Bo będziemy zbierać
walutę, honory,
jako najślawniejsze
w świecie „głodomory“.

W szklanych trumnach będziem
robić przedstawienia.
Mówcie-ż, czy to nie jest
do pozazdroszczenia?

NA POŻEGNANIE.

(Wierszyk elegijny i natrętny.)

Choć życie sobie śmiechem zdobię
i każdy słodzę nim kęs chleba,
nieraz ze smętkiem myślę sobie,
że odejść stąd mi będzie trzeba ...

Że choć się wolno życie przędzie,
wnet będzie trzeba iść w bezkresy —
a tu Was inny bawił będzie
i pisał dla was „marginesy“ ...

I może lepiej to wykona,
niż ja dotychczas to czyniłem —
może wykrzesze z swego łona
ten czar, o którym tylko śniłem —

Ten czar, co da mu serca Wasze,
co tak Was ujmie i poruszy
od pańskich sal aż po poddasze,
że dacie wstęp mu do swej duszy ...

Lecz czasem też wspomnijcie wtedy
o tym, co odszedł już w zaświaty,
co się nie wstydził swojej biedy
i swych wierszyków skromnej szaty.

I chciał Wam złocić życie szare
do dni ostatnich, do mogiły
i dał Wam... serce na ofiarę,
bo więcej nie miał... Zbrakło siły...

Lecz dawał wszystko, byle tylko
choć jedną łzę osuszyć w oku
jedną uśmiechu błysnąć chwilką,
jednym promykiem załśnić w mroku...

Więc gdy w cylindrze pan odniesie
już zwłoki moje w dół mogiły —
wspomnijcie czasem o „Jotesie“,
co bywał czasem taki... miły.

Co umiał smutku goić rany,
z zniechęceń zmorą walczył wiecznie,
może nie w sposób wyszukany,
lecz za to szczerze tak, serdecznie...

Umiechów miljon miał w notesie
i wplatał je między wierszami...

Wspomnijcie czasem o „Jotesie“,
gdy go już zbraknie między Wami.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat
Tel. 26-68-63



F
4047